cena zł 1.—

WYMIARY 7

miesięcznik społeczno-literacki

grudzień 1938

LITERATURA W POLSCE ODRODZONEJ

Julian Krzyżanowski, Stanisław Miłaszewski i Wiesław Wohnout

Dwudziestolecie odzyskania niepodległości Polski doprasza się też o bilans w zakresie literackim. W jaki sposób podstawowe przejawy życia w wolnym państwie odbiły się w literaturze polskiej — oto najbardziej palący temat. Redakcja „Wymiarów" zamieszcza w związku z tym nadesłaną dyskusję, w której wypowiadają się znakomity polonista doby dzisiejszej, prof. Julian Krzyżanowski, znany pisarz katolicki, Stanisław Miłaszewski, oraz doskonale zapowiadający się prozaik młodego pokolenia, Wiesław Wohnout, — tworząc trójgłos krytyczny różnostronny i dlatego właśnie pełny.



Max Ernst — Las i słońce

Miłaszewski:
Literatura w Polsce odrodzonej, to temat bardzo skomplikowany i trudny do ujęcia.

Krzyżanowski:
Obawiam się, że nasze uwagi z natury rzeczy będą bardzo fragmentaryczne.

Miłaszewski:
Zwłaszcza, że kalendarz wydarzeń politycznych i kalendarz zjawisk literackich nigdy niemal nie pokrywają się ze sobą.

Wohnout:
Może więc ograniczymy się głównie do zagadnienia, w jaki sposób podstawowe przejawy życia w wolnym państwie odbiły się w literaturze, w jaki sposób pisarze zareagowali na otaczającą ich rzeczywistość, co z niej zdołali przetworzyć, obok czego zaś przeszli obojętnie.

Krzyżanowski:
Zgoda! Spróbujmy uchwycić pewne zasadnicze linie rozwojowe, pewne tendencje zbiorowe.

Miłaszewski:
Czy da się to jednak pogodzić z uwzględnieniem plastycznych wizerunków pisarzy, przynajmniej najwybitniejszych, czołowych?

Krzyżanowski:
Raczej nie! Nazwiska i tytuły mogą tu mieć wartość jedynie dowodów rzeczowych.

Wohnout:
Nasuwa mi się jeszcze jedna uwaga ściśle związana z naszym tematem. Osaczeni t. zw. palącymi zagadnieniami dnia — nadmiarem palących zagadnień, jak na jedno pokolenie — straciliśmy równy, spokojny oddech epoki, chlubę prozy dziewiętnastego wieku. Pośpiech cechujący całą naszą cywilizację współczesną, wraz z pożądaniem konkretności wywodzącym się, jak sądzę, z materialistycznego poglądu na dzieje — narzuciły wprost pisarzom powojennym nowy gatunek literacki: reportaż, ze wszystkimi dalszymi, pokrewnymi rodzajami literatury t. zw. szarych ludzi. Widzę w tym przykładowe niemal zjawisko oddziaływania stosunków społeczno-gospodarczych i politycznych na twórczość artystyczną. A więc, jak można by powiedzieć . .

Krzyżanowski:
Rozważania nasze automatycznie iść muszą w kierunku tak modnej dzisiaj socjologii literatury, a więc tego kompleksu zagadnień, który Bogiem a prawdą ma zakres wprawdzie bardzo duży, ale zarazem mocno nieokreślony. Tyle, że dostarcza pewnych formuł, w które stosunkowo łatwo ująć można fragmenty tych czy innych, płynnych procesów literackich.

Wohnout:
Czy nie myśli pan przypadkiem o formule pokoleń literackich? Bo gdybyśmy przeprowadzili granicę między nimi, moglibyśmy bodajże zdać sobie jasno sprawę z tego, co w obrębie minionego dwudziestolecia było zmierzchem ery przedwojennej, a co zapowiedzią spraw już to zrealizowanych, już to będących w toku realizacji.

Krzyżanowski:
Właśnie! Tym więcej, że są takie dziedziny, co prawda tylko półliterackie, gdzie granica ta występuje wcale wyraźnie. Choćby tylko w zakresie pamiętników, a więc utworów ludzi, którzy w wieku dojrzałym przeżyli wichurę wojenną i starali się wrażenia swe upamiętnić. Szkoda tylko, że pamiętników tych mamy dość mało, no i że moda na nie rychło przeszła. Ten stan rzeczy wyjaśnia zapewne, dlaczego dotąd nie zdobyliśmy się na żadne literacko doskonałe ujęcie tych zagadnień dziejowych, które przez lat siedem przewalały się przez ziemie polskie.

Wohnout:

Czy to jednak nie przesada. Bez trudu przecież wyliczyć można...

Krzyżanowski:

Utwory o wojnie, chce pan powiedzieć? Tak oczywiście. Dość wskazać na arcyciekawą metamorfozę, która zaszła w rozpoczętej przed wojną „Walce z szatanem" Żeromskiego, by w zakończeniu trylogii dać niezapomnianą wizję wojny w Polsce. Dość przypomnieć większą w zamierzeniu niż w wykonaniu, mimo to potężną próbę Struga, który w „Żółtym Krzyżu" dał w kształt plastyczny zaklętą filozofię wojny. Tak, malowidła to istotnie niezwykłe, ale zapominać nie należy, że twórcy ich, wielcy epicy z łaski bożej, to ludzie przedwojenni, ludzie, którzy odeszli.

Miłaszewski:

Nie zaprzeczy pan profesor jednak, że pokolenie młodsze wydało także kilka tęgich talentów i kilka utworów niepospolitych, choćby np. nowele Małaczewskiego.

Krzyżanowski:

Owszem. Wydaje mi się jednak, że już sam wybór formy narracji w wypadku Małaczewskiego i innych ma swoją wymowę. Nowela chwytająca tylko sprawy drobne, fragmentaryczne, to — jak sądzę dowód kapitulacji wobec rzeczywistości, która wymyka się ujęciu bardziej monumentalnemu, a przecież czujemy, że sprawy wojenne i sprawa wskrzeszenia Polski takiej właśnie formy monumentalnej się domaga.

Miłaszewski:

Tu muszę założyć veto! Małaczewski wydaje mi się daleki od wszelkiej kapitulacji. Do końca zachował on w swej twórczości postawę ofensywną. Planował wielką powieść i mówił o niej porywająco jeszcze w obliczu śmierci. Jego „Koń na wzgórzu" był raczej przygotowaniem do większej kampanii epickiej, podobnie jak sienkiewiczowska „Niewola tatarska" była tylko przygrywką do „Ogniem i mieczem". Śmierć zabrała Małaczewskiego z literackiego placu boju, a nie z literackiego lazaretu.

Krzyżanowski:

Moje stanowisko nie uwłacza pamięci autora „Lazurowej strzechy". Przyznam się, że mam dla niego dużo sentymentu, że nawet sentyment ten nieraz wiedzie mię na jego grób pod Giewontem. Niestety, mój fach historyka literatury każe mi uwagę koncentrować na faktach, do hipotez zaś w rodzaju, coby to było, gdyby — uciekać się tylko w wypadkach wyjątkowych. Ale mniejsza o to. Sądzę, że wojna europejska w życiu naszej kultury to epizod tylko, gigantyczny wprawdzie, ale epizod i to wstępny. Po nim nastąpiły lata energicznej pracy zbiorowej pod hasłem odbudowy. Jej rozpiętość zna chyba z nas trzech najlepiej autor „Miłości i sprawy", nieprawdaż?

Wohnout:

Jeśli chodzi o organizację życia społecznego i politycznego w odbudowanej Rzeczypospolitej, to oczywiście zagadnienia te muszą pasjonować człowieka o zainteresowaniach socjologicznych. Rzecz jasna, że ogromna ta robota ułatwić musiała wystąpienie mnóstwa ukrytych lub niezupełnie uświadomionych antagonizmów narodowościowych, rasowych, klasowych, religijnych i t. d. i t. d.

Krzyżanowski:

Właśnie o nie mi chodzi i o to, w jaki sposób ten ogromny kapitał pomysłów wyzyskano w literaturze. Z ich aspektami historycznymi i czysto literackimi, od komizmu po tragizm.

Miłaszewski:

A czyż można tu mówić o jakimś jednolitym wyzyskaniu? Przecież nasze założenie uwzględnia dużą rozmaitość ujęć: a powieść Żeromskiego, komedia Perzyńskiego, tragedia Rostworowskiego...

Krzyżanowski:

Właśnie, właśnie! Wspomniany poprzednio problem dwu pokoleń powinien nam tutaj ułatwić orientację. Wymienieni przez pana pisarze, przedstawiciele pokolenia przedwojennego, dziś już nieżyjący, całkiem inaczej spojrzeć musieli na nowości w swym otoczeniu, aniżeli ludzie nowi, ci dla których Gdynie i Copy stały się, że tak powiem, chlebem codziennym, czymś potocznie znanym. Wydaje mi się jednak, nie wiem czy słusznie, że nasze warunki niekoniecznie sprzyjają wprowadzeniu tych właśnie zjawisk na scenę powieściową czy dramatyczną. Przecież pamiętamy gwałtowne polemiki, wywołane przez pierwszą, i kto wie czy nie jedyną potężną próbę ujęcia nowej rzeczywistości polskiej w „Przedwiośniu". Autor, mierzący tę rzeczywistość łokciem przedwojennych ideałów polityczno-społecznych, stał się przedmiotem tak energicznych ataków, że przykład jego mógł chyba tylko odstraszająco podziałać na następców.

Miłaszewski:

Ci autorzy, którzy polemiką o „Przedwiośniu" dali się odstraszyć od tematów współczesnych, na pewno nie zaznaczyliby się niczym istotnym w ich ujęciu, gdyby nawet przedwcześnie nie zrezygnowali. Rzecz uderzająca, że w dobie niepodległości siłą inwencją i oryginalnością góruje nad wszystkim Żeromski, wierny samemu sobie. Ten weteran literacki w zaraniu Polski wolnej szuka naprawdę nowych form i zdobywa je w „Wietrze od morza". Tej osobliwej książki niepodobna pominąć, gdy się mówi o naszej literaturze powojennej. Żeromski złożył w darze Polsce nowej całą jej przeszłość, ujętą w artystyczny skrót. Pokazał przeszłość Polski jako cykl — walk z szatanem. Pokazał Polskę szukającą swych dróg dziejowych przy świetle Ewangelii, Polskę walczącą o prawdę Chrystusową — z pseudochrześcijaństwem krzyżacko-germańskim.

Wobec urodzonego na nowo państwa polskiego, — Żeromski wystąpił literalnie jako chrzestny ojciec, dbały o prawidłowy rozwój duchowy noworodka. „Wiatr od morza" to ostatni etap w dążeniu Żeromskiego ku chrześcijaństwu. Tutaj porzuca on wszelki dualizm w pojęciu bóstwa i odgradza się wyraźnie od ideologii — szatana Smętka.

Krzyżanowski:

Wracając do innych prób uchwycenia przemian naszego życia zbiorowego, tonację niższą i bardziej przyziemną przyniosły powieści Włodzimierza Perzyńskiego i Piotra Choynowskiego. Brak nowych ich wydań nie świadczy o ich popularności, a przecież w nich właśnie pierwsze lata powojenne znalazły najpełniejszy i bardzo nieraz głęboki wyraz. Nie mówię już o tym, że zarówno ironiczna wizja wiecznie tych samych defektów natury ludzkiej u Perzyńskiego, jak nie wolne od melancholii ujęcie tej natury przez Choynowskiego sięgają wyżyn prawdziwej sztuki.

Miłaszewski:

Może pisarzy zmarłych zaćmili energiczniejsi, żywi?

Krzyżanowski:

Nie wiem. Raczej wątpię. Przecież trudno mówić o nadzwyczajnym sukcesie wśród czytelników pisarza od poprzednich młodszego, Juliusza Kadena Bandrowskiego. A pisarz to z naszego stanowiska bardzo niezwykły. Nie myślę tu o jego manierze pisarskiej, o jego barokowym naturalizmie, przedmiocie zachwytu dla jednych, żywej niechęci dla innych. Idzie mi o to, że jednym z głównych zagadnień jego twórczości jest centralny, czy przynajmniej jeden z centralnych problemów naszego życia zbiorowego, problem stosunku jednostki do państwa. Jednostki, przełamującej ciężar odziedziczonej tradycji.

Wohnout:

Nie zupełnie rozumiem o czym pan myśli.

Krzyżanowski:

O tym, że obecne tendencje, powiedzmy, totalistyczne u nas od samego początku przybrały charakter niezwykle ostry. U nas przecież kilka pokoleń wychowywało się na poemacie Krasińskiego dziękującym Bogu, że pozbawił Polskę formy państwowej, że wyznaczył jej w swych wyrokach przeskoczenie poprzez rzeczywistość europejską do stadium, gdy państwo będzie przezwyciężonym przeżytkiem. Rzeczywistość na szczęście nie kazała nam czekać aż tak długo, ale też w konsekwencji wydała duszę polską na łup wątpliwości i konfliktów nieraz wręcz tragicznych. I te właśnie konflikty stały się przedmiotem drapieżnie wnikliwej analizy w powieściach Kadena. Analizy tym przykrzejszej, że dokonywanej nie na tle romantycznych draperyj Przedświtu, lecz na szarym materiale powieści obyczajowej z życia bieżącego. Obojętne jest dla mnie, czy autor umie znaleźć rozwiązanie, które zadowoliłby mogło czytelnika, wystarcza mi, że rozwiązania tego poszukuje. Wskutek tego, moim zdaniem, w miarę odległości w czasie, powieści Kadena jeszcze zyskają i wejdą na karty historii literatury jako pomniki tragicznych zmagań się wolnego Polaka z konsekwencjami własnej wolności...

Wohnout:

Ostatnie zdanie pańskie ułożyło się jak gdyby pod wtór tomiku poezyj Wierzyńskiego o „Wolności tragicznej",

zbiorku, który można by nazwać szlachetnym panegirykiem, poświęconym wielkości Józefa Piłsudskiego...

Krzyżanowski:

Określenie to brzmi może nieco zabawnie, panegirykiem przecież zwykliśmy nazywać utwór bez wartości, a jednak ma pan rację. Jak bowiem panegirykiem pędzla lub dłuta jest dzieło rzeźbiarskie lub malarskie, pomyślane jako pomnik dla bohatera narodowego, tak panegirykiem pióra jest pomnik literacki. A takim jest cykl poematów Wierzyńskiego, poświęcony chwale Piłsudskiego. Wypadek ten wspomnieć się tu godziło, wskazuje on bowiem na owe wyżyny artyzmu, na których poezja sprzymierza się z życiem bieżącym, by szczęśliwie rozwiązywać problemy aktualne. Na poziomie nieco niższym to samo zjawisko wydaje tani rocznicowy panegiryzm.

Miłaszewski:

Według mnie, panie profesorze, cechą najznamienniejszą literatury naszych czasów jest wyraźny zwrot ku religii u autorów czołowych. Zacznijmy od poetów. Podziw dla bohaterstwa narodowego nie mniej donośnie brzmi w utworach Kazimiery Iłłakowiczówny, ale poezja jej bogatsza jest o jedną jeszcze nutę: religijną. Opowieść o „Moskiewskim męczeństwie", to na wskroś dzisiejsze ujęcie złotej legendy współczesnej. Tchnie stamtąd urok średniowiecza — połączony z wyczuciem realnych współczesnych wydarzeń. Nie mniej silnie przełom religijny zaznaczył się w najnowszej fazie twórczej Staffa. „Ucho igielne" ma nie tylko tytuł ewangeliczny, ale i ewangelicznego ducha. Ten mały tomik prostotą, głębią i świeżością tonu przywrócił Staffowi młodość — najtrwalszą, bo nieprzemijającą z latami, — a polską poezję współczesną rozpogodził blaskiem wieczności. Ten sam przełom ducha zaszedł u Kasprowicza jeszcze podczas wojny i dał poezji polskiej dwa potężne dzieła: „Księgę ubogich" i „Mój świat". Jeszcze raz najwidoczniej powraca w teraźniejszość polską ton mesjański naszych wielkich romantyków. Ma to wpływ na bieg życia. Jak z „Księgami Pielgrzymstwa" łatwiej przetrwaliśmy okres tułactwa i niewoli, tak samo ewangeliczna prostota dzisiejszych poetów katolickich pomoże nam do przetrwania ciężkich momentów, związanych z nieodłącznym nawet od wolności — tragizmem.

Krzyżanowski:

Wracając do zagadnień rozpatrywanych poprzednio chciałbym zakończyć spostrzeżenia o nich uwagą raczej niekorzystną dla samej sprawy. Wydaje mi się mianowicie, że literatura nasza powojenna wyzyskała nikły tylko odcinek owego rozległego pola, na które spoglądamy codziennie. Reszta leży odłogiem i czeka. Nie stać nas dzisiaj na malowidła, które dawałyby dzisiejszy obraz miasta przemysłowego, czy życia chłopskiego w tej skali, jaką dla czasów przedwojennych znajdujemy w jakichś „Ludziach bezdomnych" i „Ziemi Obiecanej", w „Chłopach", czy choćby w powieści „W Roztokach". Dzisiejsze powieści z życia wsi czy osady fabrycznej, z życia emigracji francuskiej czy osadników kresowych są dziwnie wątłe i chude. A jest poza tym cała dziedzina zjawisk nieporuszonych.

Wohnout:

Czy nie udałoby się tego zjawiska wyjaśnić już poprzednio sformułowanym przez pana przymierzem literatury z życiem bieżącym? Powróćmy do naszej formuły. W prozie powieściowej przymierze to nie wydało rezultatów sięgających wyżyn poezji. Wręcz przeciwnie. Z reportażem, a on właśnie jest wynikiem tego przymierza, rozlała się w naszej prozie szeroka a płytka fala łatwizny i prymitywizmu, tkwiącego niejako organicznie w tym rodzaju literackim. Na szczęście najmłodsza proza nasza poczyna się otrząsać z tej sugestii. Łapanie życia na gorąco, programowa niechęć do selekcji i wartościowania zjawisk — typowa dla literatury tego rodzaju po wojnie powoli przemija. Powracamy do powieści psychologicznej, do odwiecznych konfliktów płci, do głębokich, choć czasami przyciężkich rozważań etycznych... To dobry znak. Coraz mniej fascynuje nas skorupa zjawisk, ciekawi nas, co jest wewnątrz... Niestety młodzi i najmłodsi prozaicy prócz talentu nie wiele posiadają narzędzi poznania świata. Wyrażę się jaśniej, chociaż trochę niegrzecznie: widzę spore niedostatki wykształcenia w moim pokoleniu pisarskim. W tym sensie ma świętą rację Irzykowski, twierdząc, że t. zw. talentyzm prowadzi do wyjałowienia, do zubożenia twórczości. Mam nawet swoją prywatną receptę na ten nasz niedobór literacki. Bardzo prostą. Powrót do scientyzmu, konfrontowanie swoich doznań i odczuć z doznaniami i odczuciami innych, krytycyzm, kontakt z nauką... Aby kpić z oka uzbrojonego w szkiełko, trzeba być Mickiewiczem...

Miłaszewski:

Takim szkłem uzbroiła swój badawczy wzrok Maria Dąbrowska. Ileż „scientyzmu", dyskretnego „historyzmu", obok tuzina innych izmów, można wynaleźć w jej pracowitych „Nocach i dniach". Podziwiam zwłaszcza „autentyzm" atmosfery schyłku 19 wieku w początkach tego cyklu. Pamiętam z wczesnego dzieciństwa niedobitki powstańców pokroju Bogumiła Niechcica: z tą samą niechęcią, co i on, odnosili się do własnych dławiących wspomnień i — dławili je z kolei milczeniem... Tylko w najniespodziańszych chwilach wyrywały się z nich przeżycia, nietknięte kurzem czasu, świeże jak krew niezakrzepła... Tak, przez powieść o „Bogumile i Barbarze" epoka mówi — nie falsetem indywidualistów, ale pełnym, zwyczajnym, naturalnym głosem. Taka prostota przynosi słuchowi ulgę po efektach kunsztownych, lecz mniej bezpośrednich prozie. Bardzo, bardzo rzetelne studium epoki uczyniła Dąbrowska podstawą swojej pracy, więc się epoka odbija tam naprawdę. Sumienność zresztą nie zabiła polotu... Ale zdaje się, że zaczynam wyglądać na przysięgłego adwokata kobiet... więc milknę.

Krzyżanowski:

Jedną ze znamiennych właściwości naszych czasów jest wybitny udział kobiet w pracy literackiej...



Jan Wydra — Rybaczka

Wohnout:

...od najstarszych do najmłodszych...

Krzyżanowski:

...Na dalekich kresach od czasu do czasu gromy na rzeczywistość dnia bieżącego miota sędziwa autorka Dewajtisa...

Milaszewski

...Na akademickim konkursie dla najmłodszych nagrody zespołowe otrzymują tylko gimnazja żeńskie...

Krzyżanowski

...Między tymi biegunami wskazać by można kilka bardzo niepospolitych nazwisk powieściopisarek i poetek z Zofią Nałkowską i Zofią Kossak na czele. Gdyby procentowo obliczyć udział kobiet w produkcji literackiej ostatniego dziesięciolecia, przypuszczam, że procent ten byłby bardzo wysoki, może przytłaczający. Z tym wszystkim nie mając specjalnych powodów do zachwytu nad sumą wkładu kobiecego pióra w literaturze, pełen jestem podziwu dla niektórych majstersztyków ich prozy lub wiersza. Wydaje mi się, że kobiety wnoszą do literatury inteligencję i pewien poziom kulturalny, a więc wartości obce wszędzie tam, gdzie o powodzeniu pisarzy męskich, zwłaszcza przemijająco głośnych, rozstrzyga rozmach i tania brutalność. Warunek jeden tylko, że panie nie będą porywały się na zadania przerastające ich siły, zadania, wymagające z natury swej albo rozmachu absolutnego, albo też rozmachu, opanowanego przez bardzo staranne i wnikliwe przemyślenie. Myślę oczywiście o epoce dzisiejszej, a więc o wszelkich odmianach wielkiej powieści, albo o wielkim dramacie.

Miłaszewski:

O przepraszam! Dowodem, że autorki współczesne mogą się porwać na zadania, będące dotąd monopolem mężczyzn, są „Krzyżowcy" Zofii Kossak. Autorka sumiennym przemyśleniem ogromnego materiału, oraz intuicją, przewidziała najnowsze definicje naukowe, wypowiedziane już po ukazaniu się jej książki.

Co więcej wniosła ona do powieściopisarstwa współczesnego klimat metafizyczny, którego nam dotkliwie brakowało. Aktualność odwiecznego tematu „Krzyżowców" jest bardzo duża — dzisiaj, gdy ruina haseł etyki wyzwolonej — z więzów religii — wykazała potrzebę nawrotu do źródeł naszej kultury, czyli do chrześcijaństwa.

Zofia Kossak poddaje równocześnie sumiennej rewizji to wszystko, co w tradycji chrześcijańskiej z dawnych czasów jest banałem lub mitem. To jej niespożyta — pionierska zasługa.

Co się tyczy dramatu, to istotnie twórczość kobieca nie wniosła tam, od czasów Zapolskiej, nic rewelacyjnego. Rewelacją natomiast na wskroś męskiej twórczości jest Rostworowski ze swą trylogią dramatyczną. To, czego nie dźwignęła dotychczas nasza powieść współczesna, mianowicie proces powstawania nowej inteligencji polskiej z warstw ludowych, pokazał — dramaturg.

Niewątpliwie dopomogła mu do tych osiągnięć prawdziwa religijność, ułatwiająca spojrzenie z perspektywy wieczności na zdarzenia, ograniczone przestrzenią i czasem.

Krzyżanowski:

Powieść niehistoryczna może natomiast wykazać się pozycjami o tematyce ogólnoludzkiej, takimi jak „Żółty Krzyż" i „Miliardy" Struga.

Wohnout:

W naszej dyskusji pominęliśmy dotąd twórczość młodego pokolenia.

Krzyżanowski:

Pisarzy młodych wymienić tu trudno, po prostu dlatego, że w ich twórczości niepodobna rozgraniczyć wartości trwałych od efemerycznych. Myślę tutaj o zjawisku dobrze u nas znanym i niejednokrotnie omawianym przez krytykę, o znakomitych nieraz debiutach, zapowiadających niezwykłą karierę literacką, debiutach jednak bez trwalszego pokrycia. W każdym razie wymienić tu należy dwa nazwiska: w poezji Bąka, w prozie batalistycznej Rembeka.

Miłaszewski:

W poezji Bąka brzmi tragiczność wewnętrzna, pokrewna Mauriacowi. Chrześcijaństwo udręczone, gniewne, bojowe i jakby jeszcze — przedchrześcijańskie — słychać w lirycznych rachunkach sumienia, czynionych przez tego poetę — częściej za ludzkość, niż za siebie. Wojciech Bąk, ten intelektualista we włosiennicy, bliższy jest chyba swym posępnym tonem duchowi proroków Starego Testamentu, niż głosicielom Dobrej Nowiny. To właśnie jego oryginalność.

Wohnout:

Nawet przy tak oszczędnym dozowaniu pochwał pozostanę optymistą. — Całkiem np. nowe perspektywy otwiera przed nami młoda marynistyka literacka — rodzaj do niedawna zupełnie w Polsce zaniedbany, a dziś liczący już kilka poważnych pozycyj zarówno w prozie, jak i w poezji. To pionierska robota! Nie jedyna zresztą — jakże mam nie być optymistą?!

Miłaszewski:

Pionierem jednak głównym na tej drodze jest ciągle jeszcze Żeromski. — w „Wietrze od morza", w „Międzymorzu"... Jeżeli młodzi maryniści dotrzymają mu kroku — będzie to zdobycz wielka — nie tylko dla literatury, ale i dla naszego stanowiska państwowego. Mamy prawo wierzyć, iż nowa polska literatura dorośnie do wysokiego zadania i niezadługo — wzniesie swą literacką Gdynię. — Głosuję za optymizmem!

Krzyżanowski:

I ja także! I mam po temu swoje dobre racje. Jako historyk literatury, interesujący się po trosze problemami z zakresu socjologii literatury, przywykłem spoglądać na zjawiska literackie w ramach tego układu historycznego, w których je spotykam. Ten zaś nawyk każe mi ufnie obserwować kompleksy ilościowe, poczytuję je bowiem za naturalny podkład dla zjawisk jakościowych, zjawisk o wysokiej wartości. Genialni pisarze i genialne dzieła nie wyrastają nigdy na gruncie jałowym. I jedni i drugie należą do rasy wysokich drzew, wystrzelających nad niskim wobec nich podszyciem leśnym. Ale to nie wszystko!

Była tu już dwukrotnie mowa o europejskim aspekcie naszej literatury. I to w jego podwójnym znaczeniu, w sensie naszego wkładu do kultury literackiej ogólnoeuropejskiej i w sensie oddźwięku naszych dzieł na rynku literackim poza obrębem naszych granic.

Optymizm mój płynie z faktu, że w ciągu omawianego tu dwudziestolecia pojawiło się kilka, może nawet kilkanaście utworów o tematyce ogólnoeuropejskiej i o poziomie ogólnoeuropejskim. Dość wymienić „Żywe kamienie" Berenta, „Choucas" Nałkowskiej, „Żółty krzyż" i „Miliardy" Struga, „Laur olimpijski" Wierzyńskiego. W dziełach tych myśl i wyobraźnia pisarza polskiego mierzy się z wielkimi problemami cywilizacji i kultury dzisiejszej w skali ogólnoeuropejskiej. To znaczy, moim zdaniem, że literatura nasza rozpina skrzydła do wielkich lotów, znacznie wybiegających poza podwórko naszej codzienności, a to przecież bardzo wiele.

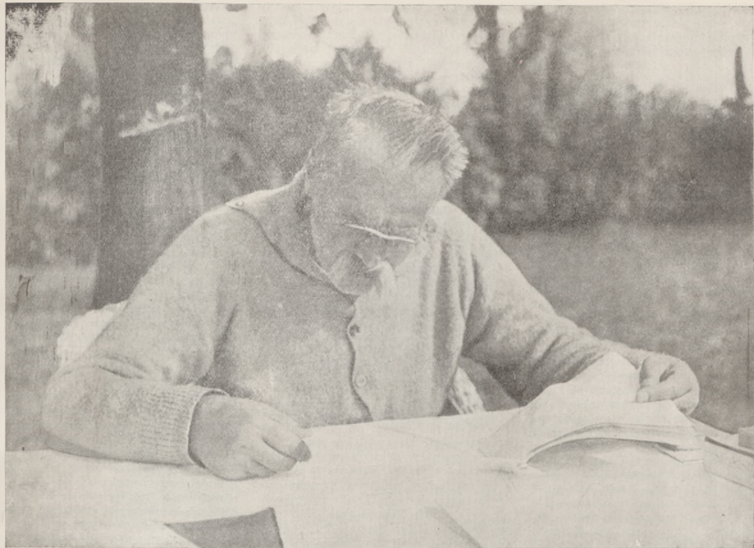
Możecie mnie panowie zapytać, czy loty te spotykają się z należytym uznaniem u obcych, skoro również dla nich są przeznaczone. Odpowiedzieć na to muszę twierdząco. Dobrych lat kilka spędziłem poza Polską, krzewiąc wśród obcych znajomość naszej literatury. W audytorium swym rokrocznie miewam studentów, przybywających do Polski, by zapoznawać się z naszą kulturą i literaturą, studentów, z których wyrastają krytycy literaccy i tłumacze naszych dzieł i arcydzieł. Ilość przekładów rośnie, urządzona przed kilku laty ich wystawa zgromadziła bardzo, bardzo wiele eksponatów. Być może, że tego wszystkiego jest za mało. Mimo to jestem głęboko przekonany, że systematycznie odrabiamy zaległości w tej dziedzinie przedwojenne i że coraz szerzej wciągamy Europę w życie naszej literatury. Na dowód przytoczyć mogę choćby ostatnią nagrodę Nobla i stanowisko Europy wobec Reymonta, którego przekłady pojawiają się co roku. Pamiętam o tym i dlatego na nasz bilans literacki za ubiegłe dwudziestolecie spoglądam nie tylko z optymizmem, ale nawet z dużym uznaniem.

ZJAZD PISARZY POLSKICH NA ZAOLZIU

Niebawem odbędzie się w Cieszynie Zachodnim zjazd pisarzy polskich, organizowany przez Zarząd Główny Związku Zawodowego Literatów Polskich. Celem zjazdu jest manifestacja wartości kulturalno-narodowych literatury polskiej na terenie tak cennej dla Rzeczypospolitej, świeżo odzyskanej Ziemi Zaolziańskiej.

Program trwać będzie kilka dni. Pierwszego dnia odbędą się obrady i powitanie zjazdu przez przedstawiciela Ministra Oświaty, Wojewody Śląskiego i przedstawiciela Sejmu Śląskiego. Nazajutrz nastąpi objazd Zaolzia i udział w 6 porankach artystyczno-literackich, zorganizowanych w miejscowościach: Jabłonków, Trzyniec, Karwina, Orłowa, Fryszlat i Bogumin. Trzeci dzień literaci spędzą w Katowicach.

Zjazd niewątpliwie zacieśni jeszcze bardziej więzy kulturalne, łączące Polskę z odzyskaną ziemią.



PIŁSUDSKI JAKO PISARZ

Wacław Lipiński

W latach 1918 1922, w latach kiedy Piłsudski sprawuje funkcję Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza, nie ma oczywiście warunków na pracę pisarską. Jej wyrazem są listy i nade wszystko rozkazy do wojska, do którego przemawia zawsze sam, sam je pisząc. Pisze je jednak teraz rzadko, w tym tylko wypadku, kiedy pragnie podkreślić swój własny stosunek do zagadnienia, kiedy poruszona w nim zostanie struna duszy, związana z chwilą, jaką życie przynosi. Tak więc odezwie się w dniu 12 listopada, pisząc swój pierwszy niezapomniany rozkaz do wojska, w dniu, w którym serca Polaków żywiej zabiły, tak napisze rozkaz na rocznicę powstania styczniowego, z którym duch jego nierozerwalnie został związany lub na setną rocznicę śmierci Wielkiego Cesarza. Nowy ton, ton wyzwolonego Polaka, ton żołnierza polskiego walczącego o kraj w jasnym blasku dnia rozebrzmi teraz całą siłą swej ekspresji, całą mocą woli, której swobodę sam już tylko Piłsudski krępuje.

Prowadząc wojnę z Rosją jako Naczelny Wódz, kierując życiem odrodzonego państwa, wydając z siebie maksimum energii, jaką człowiek wydobyć z siebie jest w stanie, — z pracą pisarską zrywa Piłsudski w tym czasie całkowicie. I właśnie po tych trzech latach niepisania, po dłuższej przerwie, w następnym zaraz okresie swego życia, rozpoczętym w 1923 roku — wystąpi Piłsudski jako pisarz w skali i energii, jakiej do tej pory nigdy z siebie nie wydobył.

W roku 1612, kiedy Zygmunt III przygotowywał się do nowej wyprawy na Moskwę, wbrew radom i stanowisku hetmana Żółkiewskiego, który na czele politycznej i wojskowej wyprawy chciał widzieć królewicza Władysława, by dla niego uzyskać moskiewski tron — stary hetman, rozumiejący jak wielki błąd dziejowy w jego oczach się dokonywuje, odsuwa się na ubocze, zamyka się w swojej Żółkwi, poczynając pisać „Początek i progres wojny moskiewskiej". Hetman, który tylekroć wolą swą i męstwem decyzji wojennej ratował Rzeczpospolitą, chwyta teraz za pióro, by słowem pisanym, myślą i sercem czułym na wielkość Ojczyzny otworzyć oczy Polakom, ode zła i nieszczęścia uchronić.

Zwycięski wódz Polaków właśnie teraz, kiedy po równych prawie trzystu latach po raz pierwszy znów Rzeczpospolita zawarła z Rosją pokój, triumfem wojny podyktowany — zamyka się w swoim Sulejówku, by miecz zwycięski zamienić na pióro, by z nim jako z narzędziem walki wystąpić w bój o duszę Polaków.

W pierwszych zaraz tygodniach, kiedy od skrwawionych zwłok zamordowanego Prezydenta padł niezmazany cień na historię Polski, Piłsudski pisze „Wspomnienie o Gabrielu Narutowiczu". Książkę tę dyktowała nie tylko czułość i wrażliwość serca, nie tylko ból osobistej straty wiernego i oddanego całą duszą Piłsudskiemu przyjaciela, ale nade wszystko ból obrażonego ciężko i dotkliwie majestatu wielkości Ojczyzny, w duszy Piłsudskiego tkwiącej. Grozie zranionego serca Polaka, wstydowi i najgłębszej trosce zarazem o przyszłość zawdzięczać należy napisanie tej książki. Piłsudski pisząc o Narutowiczu, w słowach pełnych surowej prostoty i niewymownego jednocześnie piękna, rysuje obraz i kształt Narutowicza jako człowieka. Człowieka szuka Piłsudski przede wszystkim, bowiem nic co człowieczego nie jest mu obojętne. Jako pisarz, jako psycholog, jako analityk szuka duszy ludzkiej, bada jej prawa u innych, bada u samego siebie.

Tej „prawdzie duszy ludzkiej" daje wyraz wstrząsający i znów jedyny w literaturze świata, w obszernej swej pracy o „Roku 1920". W odpowiedzi na pracę Tuchaczewskiego, rozważającego dopiero co ukończoną wojnę, powstaje książka stanowiąca unikat zupełny, dająca polemikę dwóch wodzów dowodzących do niedawna armiami

w śmiertelnych z sobą zostających zmaganiach, dająca konfrontację wysiłku dwu woli, konfrontację przeciwstawnych koncepcyj z mózgu i duszy zrodzonych.

Wyjątkowa w literaturze książka ta jest również wyjątkowa dla Piłsudskiego jako pisarza. Odmienność jej konstrukcji wynika z samego już musu trzymania się toku myśli przeciwnika, argumentacja polemiczna dyktuje styl i formę ale tylko tam gdzie wynika to z warunku zasadniczego, jakim jest konieczność skonstruowania odpowiedzi, odparcia zarzutu, zbicia argumentów i przytaczanych elementów dowodowych. Tam jednak, gdzie Piłsudski przychodzi do scharakteryzowania własnych koncepcyj i własnych czynności — partie książki mają całkowicie odmienny styl, odmienny koloryt i barwę słowa, występując z siłą plastyki i obrazowości, jakiej nie ma przykładu w literaturze nie tylko polskiej. Dość wskazać na ów przejmujący w swej plastyce narysowany przez Piłsudskiego obraz załamywania się moralnego kraju, kiedy „pod wrażeniem tej nasuwającej się chmury gradowej łamało się państwo, chwiały się charaktery, miękły serca żołnierzy" lub przepyszny, porywający tempem i wyrazistością ustęp o rozpoczętym przez Piłsudskiego przeciwnatarciu, kiedy „nie marnego kontredansa, lecz wściekłego galopa rżnęła muzyka wojny. Nie dzień z dniem się rozmijał, lecz godzina z godziną a kalejdoskop w takt wściekłego galopa nakręcony, nie pozwalał nikomu z dowodzących po stronie sowieckiej zatrzymać się na żadnej z tańczonych figur. Pękały one w jednej chwili, podsuwając pod przerażone oczy całkiem nowe postacie i nowe sytuacje, które przerastały całkowicie wszelkie przypuszczenia i czynione plany i zamiary"...

Tutaj czytając stronice tej książki należy zestawić ją ze współczesną, analogiczną w wielkiej mierze, pamiętnikarską literaturą wojny światowej. Przy zestawieniu dopiero z konstrukcją i formą pisarską przyjętą przez Foch'a, Hindenburga, Petaina czy Ludendorffa, Gallieni'ego czy Hötzendorfa, wystąpi w całej rozciągłości i jaskrawości odrębność, jeśli nie jedność zastosowanej przez Piłsudskiego pisarskiej formy, z którą w gatunku tej pamiętnikarskiej literatury zestawićby można jedynie ze wstrząsającymi stronicami „Blasków i nędzy zwycięstwa", płomiennym sercem starego Clemenceau pisanymi.

„Rok 1920", będący centralną pozycją twórczości z okresu Sulejówka — jest jednocześnie koroną wieńczącą całość energii pisarskiej Piłsudskiego, jakkolwiek w tym właśnie czasie pisze on i przemawia najwięcej i najczęściej. Przemawia — bowiem twórczość Piłsudskiego jako prelegenta należy całkowicie włączyć w skład jego twórczości pisarskiej, co wynika z samej techniki powstawania utworu. Tak więc „Rok 1920", jakkolwiek jest pozycją pisarską, był nocami dyktowany przez Piłsudskiego Pani Marszałkowej oraz częściowo generałowi Julianowi Stachiewiczowi i proces powstawania, proces formułowania był takim jak i przy powstawaniu treści i formy prelekcji, długo przedtem przygotowywanych w samotnym, charakterystycznym dla Piłsudskiego chodzeniu po pokoju. Prac tych, zarówno wypowiadanych żywym słowem jak i rzucanych ręką na papier powstaje w tych latach znaczna ilość. Związany jak najściślej z „Rokiem 1920" ton polemiczny, pełen sarkazmu i bolesnej ironii jest tonem, w który uderza Piłsudski pisząc swą bezlitosną polemikę z generałem Kukielem, by znów zadziwić skalą pisarskich możliwości, wydobytych wtedy, kiedy wraca do wspomnień legionowych, kiedy pisze pełne czaru, pełne subtelnych opisów przyrody — na którą jak prawdziwy artysta do końca swoich dni ziemskich żywo, serdecznie reaguje — wspomnienia o Czeremoszu i Ozarowie. Miękkość słowa, subtelność przeżycia, delikatność uczucia zawsze słowem Piłsudskiego będzie towarzyszyła kiedy ma pisać lub mówić: o Matce, dzieciach, przeżyciach legionowych i Wilnie...

Jest jeszcze inny jednak ton, w który Piłsudski uderza, ton, jakiego nie spotkamy nigdzie indziej u niego, ton, jaki zabrzmi w odezwie o roku 1863. Tutaj polot myśli związany z romantycznym indywidualizmem, natchnienie i wizyjność, siła i głębia słowa wypowie się w słowach Piłsudskiego nutą najwyższej skali, tej skali, która pozwoli mu odnaleźć wielkość w dziejach roku sześćdziesiątego trzeciego, tę wielkość, która jego samego skrzydłami swymi objęła.

Próba charakterystyki Piłsudskiego jako indywidualności pisarskiej dokonana została na podstawie jego prac, będących tej charakterystyki źródłem. Źródłu temu, a więc jego pracom pisarskim zawdzięczamy jednak znacznie więcej.

Prace pisarskie Piłsudskiego traktowane jako źródło dają w pierwszym rzędzie możność poznania historii Polski z epoki, w której Piłsudski żył, rozwijał się i tworzył. Historii oczywiście nie usystematyzowanej, nie zupełnej, miejscami nie obiektywnej, ale historii pełnej realnego życia, plastyki i prawdy. Historii, w której odnaleźć można całą głębię poniżenia i upadku w jakiej tkwił naród, całą nędzę niewoli i jednocześnie najpiękniejsze wzloty ludzkiego ducha, najdumniejsze jego przejawy w dniach klęski czy w wielkich dniach triumfu. Historia Polski wpleciona została w pisma Piłsudskiego, drga życiem pod jego impulsywnym słowem, syci się i rumieni krwią. Nikt jej w pełni nie będzie mógł zrozumieć i nikt nie odda prawdziwego jej oblicza, kto pism Piłsudskiego nie zna, nie przemyśli i nie wczuje się w ich głęboką poruszającą wymowę.

Nieporównanie jednak cenniejsze źródło stanowią prace pisarskie Piłsudskiego dla poznania jego samego, jako człowieka. Historyk który by nie dysponował żadnym innym materiałem, który by nie znał biograficznego układu jego życia, opierając się tylko na samych Piłsudskiego pismach, na jego osobistych wypowiedziach mógł by zbudować obraz nie tylko Piłsudskiego pracy w życiu dokonanej, ale i obraz jego psychicznej i myślowej indywidualności. Raz po razu Piłsudski mówi o sobie, siła i energia psychiczna, którą wkłada w każdą pracę, w każdą myśl swoją, tak się z nimi nierozerwalnie łączy, że Piłsudski, człowiek, nie może się od niej oderwać. Dusza jego jest źródłem jego czynów, ich realizacja rezultatem energii duchowej. Stąd też stoimy przed zjawiskiem niespotykanym w literaturze świata.

Z wielu nazwisk ludzi, kształtujących swą wolą losy narodów i państw, które tutaj zostały wyliczone, z porównań które zostały dokonane, wynikają raz po raz podobieństwa między nimi a Piłsudskim. I oni i Piłsudski pracy pisarskiej używają jako narzędzia, jako środka działania, jako narzędzia walki, której celem musi być zwycięstwo. Ale nikt, jak wielki świat i szeroki, jak różnorodna i bogata skala jest ludzkiego ducha, jak pełna niespodzianek droga myślowa, ale nikt z ludzi kształtujących swą wolą losy milionów, z ludzi innych prowadzących na śmierć, z ludzi znaczonych palcem Boga — nie dał nam tak wstrząsającej spowiedzi, jaką przekazał Polakom Piłsudski. Siłę swych przeżyć, bolesną mękę którą po tylekroć przechodził — utrwalał słowem, którego wielkość wtedy się zrozumie, kiedy się wie, że jest to słowo rozmowy z Bogiem.

25 XI 38 r. w siedzibie Polskiej Akademii Literatury odbyło się 22 zebranie P. A. L., na którym dyrektor Instytutu Józefa Piłsudskiego i szef wydziału wojskowego Biura Historycznego, doc. U. J. K. ppłk dr. Wacław Lipiński wygłosił odczyt p. t. „Piłsudski jako pisarz". Na zebranie przybyli: wiceminister Bobkowski, gen. Kutrzeba, sen. Prystor, nacz. wydz. sztuki min. W. R. i O. P. Dzik, p. Wanda Piłsudska, akademicy literatury: Sieroszewski, Kaden-Bandrowski, Boy-Żeleński i Irzykowski, przedstawiciele świata naukowego i artystycznego stolicy.

Zagaił zebranie prezes W. Sieroszewski, po czym ppłk. dr. Wacław Lipiński omówił polityczny i wojskowy aspekt twórczości pisarskiej Piłsudskiego.

Pragnąc zapoznać Czytelników z pracą ppłk. dr. Wacława Lipińskiego, Redakcja zwróciła się do niego z prośbą o opublikowanie w „Wymiarach" fragmentu tekstu oraz o wygłoszenie w Łodzi całości w formie odczytu, który odbędzie się **w poniedziałek dn. 19 grudnia 1938 r. o godz. 19-ej w sali Stowarzyszenia Techników (Piotrkowska 102).**

Z okazji

nadchodzących świąt

składamy czytelnikom, prenumeratorom i współpracownikom serdeczne życzenia

Redakcja.

O PIĘKNIE I PRACY — ODCZYT WYGŁOSZONY DO ROBOTNIKÓW W CREUZOT

Paul Cazin

Żył w wieku XIX-ym znakomity Polak, malarz i poeta, którego los nieubłagany i okrutny prześladował do ostatka, dziś kości jego próchnieją we wspólnym grobie na francuskim cmentarzu pod Paryżem, podczas gdy szczątki innych wielkich współczesnych mu ludzi w grobowcach królewskich w Polsce spoczywają. Był to Cyprian Norwid; napisał kiedyś dwuwiersz, który często myślą i sercem wspominam:

„O sztuko! człowiek do Ciebie powraca,
Jak do cierpliwej matki dziecię smutne...

Dziś mówić chcę po trosze o literaturze, po trosze o filozofii; niewielka jest wprawdzie moja kompetencja w dziedzinie sztuk plastycznych. Niegdyś — zapaliłem się do rysunku i skopiowałem z większym zapałem niż talentem dwa popiersia z gipsu, wałęsające się zwykle w kącie każdej pracowni: pucułowatą twarz młodocianego cesarza Augusta i ściągłą maskę starego Géricault. I na tym koniec. Lecz pozostałem miłośnikiem miniatur barwnych, zdobnych liter, arabesek. Więc chociaż kiepski ze mnie krytyk, chociaż nigdy nie uprawiałem sztuk pięknych, niemało jednak rozmyślałem nad teorią i filozofią sztuki; i nie kierują mną wyłącznie względy uprzejmości dla artystów-plastyków, gdy spróbuję objaśnić dziś, dlaczego malarstwo góruje nad literaturą a paleta nad kałamarzem.

Już znakomity pisarz Leonardo da Vinci, niełaskaw był wielce dla poetów, twierdząc, że poezja niższa jest od sztuki malarskiej, gdyż tworzy za pomocą słowa dla słuchu — a malarstwo, to „prawdziwe dziecię przyrody", przedstawia rzeczy wzrokowi — temu najszlachetniejszemu ze zmysłów i daje nam „prawdziwe rzeczy podobieństwo".



Paul Gauguin —
Bonjour Monsieur Gauguin

„Niechaj" — powiada on — „zakochanemu wdzięki jego wybranki poeta opisze, lub niech mu je malarz przedstawi, a zobaczycie, co zakochany wybierze".

I słusznem jest, że my, literaci, powieściopisarze lub poeci przemawiamy do rozumu i do wyobraźni, artysta zaś plastyk bezpośrednio do zmysłów. My usiłujemy wywołać obrazy, które malarz pokazuje — a wywołujemy je jakże zawiłym nieraz procederem! Staramy się oddać wrażenia wzrokowe za pomocą percepcji słuchowych, wewnętrznych, ba! często nawet niemych, o ile chodzi o słowo pisane.



Van Gogh — Autoportret

Chętnie wierzę, że, jak twierdzi Rimbaud, samogłoski są różnobarwne, lecz te barwy przenikają do nas przez mózg i ucho. Oko czytelnika dostrzega tylko szare literki, które nasuwają pamięci brzmienie słowa i daleki jakiś obraz.

I na domiar, należy także znać i rozumieć język, w którym dzieło zostało napisane.

Jaka długa droga by dotrzeć do piękna? ile przeszkód i ograniczeń!

Nie dziwię się więc, że jeden z mistrzów słowa, powieściopisarz Gaston Roupnel powiedział:

„Zazdrościłem zawsze sztukom przemawiającym wprost do zmysłów i duszy powszechnym językiem dźwięków, kształtów i kolorów. Artysta-plastyk stale pozostaje w cudownej styczności ze światem, z prawdą kształtu, rzeczywistością ruchów i sił — jednym słowem — z życiem. Jakże daleką jest literatura od tej wspaniałej łączności z wszechświatem.

Istotnie — jeżeli literatura szczycić się może dostojeństwem myśli, jeżeli bogatsza jest w pierwiastki duchowe niż plastyka — to łatwiej też popada w sztuczność, konwencjonalizm, kłamliwość. — Grozi jej również przestąpienie własnych granic, wkraczanie w państwo innej sztuki — szczególnie malarstwa i muzyki. Jest styl, w którym opisowość przeważa nad rozumowymi pierwiastkami, kolorowość nad myślą; kiepsko spełnia swe zadanie; a malarz znowu, gdy zbyt przejęty tematem, pokusi się na literackie traktowanie swych płócien, też próżno będzie się mozolił; gdyż sztuka każda powinna przestrzegać swych granic, inaczej wyradza się i marnieje.

Lecz dość tych abstrakcyjnych rozważań. Chciałem dziś mówić, żadnego ściśle nie przestrzegając planu, chciałem mówić do słuchaczów moich o nich samych; powiedzieć, jakie myśli nasunęły mi podczas chwil poświęconych lekturze i refleksjom przejawy ich życia artystycznego.

...Lekturze... czy wiecie, że niedawno po raz pierwszy przeczytałem „Hrabiego Monte Cristo" Aleksandra Dumas? wzruszył mnie do łez. Nie śmiejcie się, proszę! bez wstydu przyznaję, że płaczę nieraz, czytając powieści dla dzieci i dla mas. Bo jest w nich coś, co rozrzewnia i porywa, coś uroczego i niedorzecznego, o czym się zawsze marzyło, a co tak rzadko spotyka się w życiu: dobrzy zostają nagrodzeni, a źli ukarani.

Nie wdam się w analizę tej książki i tych niezliczonych konceptów, fortelów, po mistrzowsku genialnie wprost smutnych tysięcznych powikłań, najwyższego napięcia melodramatycznego, ale oświadczam, że zaczerpnąć zeń można zbawienną lekcję energii życiowej, wspaniałomyślności, optymizmu i nadziei. Nie brak w niej spostrzeżeń i rozważań, świadczących, że nielada zuchem był stary ojciec Dumas!

— Edmund Dantes i ksiądz Faria opowiada on nam — wyuczyli się tego cierpliwego i podniosłego więziennego rzemiosła, które z niczego coś stworzyć potrafi. Wiecznie czymś byli zajęci. —

Czy to nie piękne! oto, pomyślałem, jak i my sobie tu — w więzieniu życia — poczynać powinniśmy. Z niczego umieć coś zrobić — to znaczy po prostu tworzyć — „zajętym być" — bez wytchnienia.

I pomyślałem: podziwu godni są ci



Edouard Manet —
Portret Zoli

mieszkańcy Creusot, którzy wolne chwile poświęcają malarstwu, snycerstwu, wytłaczaniu skór lub bodaj tylko artystycznemu rozplanowaniu kwietników swego ogródka. Jak piękny przykład

dają nam ci ludzie, mimo jarzma codziennej ciężkiej pracy usiłujący bronić swobód i praw fantazji. W tym wielkim mieście przemysłowym, gdzie tak potężnie rozwija się „sztuka utylitarna", ta sztuka którą Prometeusz objawił ludzkości, wykradając dla niej ogień z nieba... tak często pożar na ziemi niecący — w tym mieście istnieją zaciszne ogniska domowe, gdzie kwitną Sztuki Pokoju.

Myślałem również, że nigdzie chyba tak jak w tym ośrodku pracy — gdzie tylu jest robotników, rękodzielników, artystów, nigdzie tak nie odczuwać się powinno braterstwa ludzi pracy.

Robotnik — rękodzielnik — artysta — to pierwotnie ten sam człowiek. Łacina — aż do epoki Odrodzenia znała tylko dwa wyrazy, dziś mamy ich trzy. Mówiono: „artifex — opifex": jedno i drugie oznaczało: „tworzący dzieło"; zaledwie odróżniano robotnika od rękodzielnika, a zupełnie już nie odróżniano rękodzielnika od artysty.

Rozwój struktury społecznej, ewolucja ekonomiczna, a także, przyznajemy, pycha, próżność, i duch mieszczański wprowadziły powoli klasy, kategorie, które nie leżą w samej naturze rzeczy. Co do postępu ekonomicznego, to podziwiać należy wyrafinowanie cywilizacji, skazującej robotnika na gest machinalny bez udziału serca i mózgu, cywilizację, w której robotnik i rzemieślnik zarabiają na życie, a artysta — już nie.

Patrzcie, jakie pojęcie o sztuce mieli dawni filozofowie. Przedstawiam Wam je słowami uczonego, mego przyjaciela, Jacques'a Maritain:

„Sztuka posiada zasadniczo charakter intelektualny; istota jej polega na wryciu ducha w materię. A więc ma ona siedlisko w inteligencji „artifex'a", (rękodzielnika), jest jej cechą integralną.

Toteż przyznawali oni wyższość umysłową, szlachectwo ducha nie tylko wielkiemu malarzowi lub rzeźbiarzowi, jak Praksyteles lub Zeuxis, lecz i stolarzowi i kowalowi wiejskiemu. O wartości rękodzielnika nie stanowiła siła jego mięśni, gibkość palców, szybkość, zręczność „stayloryzowanych" ruchów — nie, była ona cechą jego inteligencji, nadającą najskromniejszemu nawet rękodzielnikowi pewną doskonałość duchową. Swoboda, z której korzystał, wolny wybór gestu przyoblekały go niejako w dostojeństwo duchowe.

To ujęcie zaszczyt przynosi ludzkości, ponieważ przy normalnym przebiegu rozwoju człowieka i prawdziwie ludzkiej cywilizacji — przedstawicielem ogółu jest rękodzielnik.

(d. c. n.)

MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA SZTUKI W WENECJI

Diego Valeri

Wenecja, w listopadzie

Co dwa lata zamknięte pawilony wystawowe w ślicznych Ogrodach weneckich otwierają się słońcu i zaczynają żyć intensywnym, zawsze nowym życiem. Również i tegoroczna Wystawa, XXI z rzędu, z której pozostało już tylko drogocenne wspomnienie, przyniosła nam w darze, jak wszystkie poprzednie „Biennale", niezmiernie obfity materiał spostrzeżeń i studiów. Po pierwsze — bogatą antologię malarstwa pejzażowego zeszłego stulecia; po drugie — około pięciuset płócien, rzeźb i sztychów, autorstwa pięćdziesięciu artystów włoskich współczesnych, wybranych wśród najlepszych; po trzecie — koło dwóch tysięcy dzieł, uznanych przez komisarzy zagranicznych wystawy za wykwit sztuki współczesnej, godnie reprezentującej narody; rozlokowano je w pawilonach poszczególnych państw. Poza tym obrazy i rzeźby artystów włoskich niezaproszonych, ale dopuszczonych do brania udziału w konkursach na portret i na pejzaż; wreszcie kilka fresków i płaskorzeźb na temat obowiązujący o dość jednak szerokim zakresię (zdarzenia i formy życia włoskiego epoki faszystowskiej), powierzonych innym artystom włoskim, zwycięzcom w konkursie eliminacyjnym, rekrutującym się po większej części z najmłodszych roczników. Szczupłość miejsca w krótkim sprawozdaniu, które musi z konieczności ograniczyć się do podkreślenia wartości najbardziej istotnych, nie pozwala na obszerniejsze omówienie tego ostatniego działu, który można by nazwać doświadczalnym. Powiem tylko, że również i tu można było znaleźć, wśród wielu czysto brawurowych popisów, dzieła, świadczące o rozmachu twórczym i o poważnej świadomości artystycznej współczesnej epoki w naszym kraju.

Najpiękniejszy z całej olbrzymiej wystawy był oczywiście dział retrospektywny, obejmujący dzieła malarstwa europejskiego całego stulecia, które przebyły zwycięsko niezawodną próbę czasu. Co prawda znaleźli się tacy, co poddali w wątpliwość wogóle ustalenie kategorii „malarstwa pejzażowego". W istocie, z teoretycznego punktu widzenia jest rzeczą trudną dać prawo obywatelstwa „rodzajom malarskim", o ile skazało się na wygnanie „rodzaje literackie". Ale wiadomo, że w praktyce rzeczy przedstawiają się inaczej: stan ich jest ten sam, jak przed ewolucją estetyczną Crocego. Dlatego też, o ile pozwala się jeszcze literatom (a pozwala się!) mówić o ewolucji historycznej lub o właściwościach dramatu, noweli, liryki, nie można zakazać malarzom posiłkowania się w dalszym ciągu formułami tradycyjnymi, tyczącymi pejzażu, postaci, kompozycji, martwej natury i t. p. Inni krytycy, przyjmując bez obiekcyj samo założenie czyli temat wystawy, zakwestionowali jej realizację, która oczywiście nie mogła zadowolić wszystkich, nie mogła uniknąć luk i rzeczy zbytecznych. Cóż odpowiedzieć tym umysłom, tak hiperkrytycznie nastawionym? Niechaj odpowie stary La Fontaine: „Les délicats sont malheureux. — Rien ne saurait les satisfaires". Kto jednak chciał, mógł w całej pełni smakować piękno, które się przed nim roztoczyło i na długo zachować szczęście intymnego obcowania z arcydziełami, które jedyna i bezpowrotna okazja sprowadziła do kraju.

W salce przeznaczonej dla prekursorów malarstwa zeszłego stulecia, obok malarzy włoskich w XVIII jak Magnosco, Guardi, Bellotto (brak było Canaletta, największego z nich wszystkich) wystawiono Verneta, Roberta, Gainsborough'a, Kleina, — jakichś dziesięć płócien: wielki świat malarski w miniaturze, zawierający *in nuce* całe malarstwo pejzażowe wieku dziewiętnastego z jego postawą kolejno neoklasyczną, romantyczną, realistyczną, impresjonistyczną. Najbardziej zdumiał nas i olśnił na nowo Guardi ze względu na przedwczesne uświadomienie sobie i opanowanie najśmielszych zagadnień nowszego malarstwa. Raz jeszcze zawładnął nami urok jego magicznej poezji wyczarowania ciągłych przemian świata, poddanego bezustannemu ruchowi i nieustającej pieszczocie światła.

Z malarzy włoskich XIX stulecia, rozmieszczonych w dwóch salach przyległych, najbardziej zbliżeni do Guardiego, do intuicyjnych, nieomylnych rozwiązań jego sztuki, opartej całkowicie na instynkcie i wrażliwości, wydali nam się Antonio Fontanesi, Daniele Ranzoni i Guglielmo Ciardi. Natomiast Fattori i Segantini (jest rzeczą zbyteczną podkreślać różnicę między nimi) wykazali raczej zwrot ku przeciwnemu biegunowi: ku ujęciu intelektualnemu określonej, uporządkowanej rzeczywistości.

W sali przyległej Francja wystawiła jakieś pięćdziesiąt dzieł niejednakowej wartości i znaczenia: po jednym obrazie każdego artysty reprezentacyjnego. A rezultat? Widz mógł co prawda zorientować się co do licznych prądów estetycznych i artystycznych ubiegłego stulecia, ale aby zdać sobie sprawę z nowości, rewolucyjności wielkich twórców zmuszony był uzupełnić wrażenie swymi wspomnieniami, które dopiero rzuciły snop światła na całe zagadnienie. W istocie, jest rzeczą oczywistą, że o ile jedno jedyne dzieło wystarcza dla uświadomienia sobie, co nowego (a są to nowości, których się nie lekceważy) wniósł do malarstwa taki Michel de Montmartre, taki Huet, taki Rousseau czy Daubigny, może ono dać jedynie bardzo nieokreślone pojęcie o mocy twórczej i znaczeniu historycznym malarzy, jak Corot, Monet, Césanne lub Gauguin. W każdym razie obejrzeliśmy na nowo z wielkim wzruszeniem „L'Estaque" Césanne'a z zaklętą w nim i wyrażoną najprostszymi środkami tajemnicą materialności i eteryczności ciał w przestrzeni. Radością napełnił nas nieoglądany dotychczas Sisley, promieniejący triumfem złocistych blasków, oraz Seurat, blady, stonowany, rozwiewający się, a jednak umiejący oddać najbardziej konkretną rzeczywistość materialną.



Jan Szczepkowski — „Anioł modlący się" (rzeźba)



Olga Boznańska — portret p. Dygat



Gianni Vagnetti — „Ritrattino"

W innych salach — wiele dzieł o wysokiej wartości i kilka arcydzieł geniuszu. Anglicy pokazali Constable'a i Turnera (nie wiadomo dlaczego nie wystawiono Boningtona), Holendrzy — Van Gogha. Nie znajduję innych nazwisk, które można by godnie umieścić obok artystów włoskich i francuskich, o których była już mowa.

Pokazano nam więc pięć małych krajobrazów wiejskich Constable'a, nad którymi zawisły olbrzymie niebiosa tak dla niego charakterystyczne, bez barwy, bez dna a plastyczne, niebiosa, z których spływa niemy smętek na zdumione oblicze ziemi i na pełne zagadek siedziby człowiecze; oglądaliśmy sześć pejzaży morskich Turnera, zamglonych, drżących w oparach światła, a w których wyjątkowa wrażliwość „szaleńca światła" wypowiada się z niezwykłą jak na swój czas swobodą; poza tym trzy widoki Van Gogh'a świeże, łagodne, subtelne; aczkolwiek nie mogły dać nam one skończonego obrazu wspaniałego artysty, wystarczyły, by uprzytomnić nam temperament malarski o wyjątkowej oryginalności. Niemcy nie nadesłały nic, a szkoda. Jakiś przedstawiciel szkoły duesseldorfskiej i kilka płócien Hansa Thomy wzbogaciłoby ów koncert o tony bardzo istotne. Szwajcaria przysłała między innymi trzy maleńkie obrazki Hodlera, które wystarczyły, by objawić nam pejzażystę nie mniejszej wartości od mocnego malarza postaci. Belgia, Węgry, Rumunia, Czechosłowacja, dobrze reprezentowane przez Meuniera, Munkacsy'ego, Grigorescu, Slavicka i przez tylu innych, uzupełniały w godny sposób przepiękny niezapomniany przegląd pejzaży i pejzażystów minionego stulecia.

Wystawa pięćdziesięciu Włochów, wybranych przez kraj nasz na pokaz światu, wzbudziła oczywiście największą ilość dyskusyj i zastrzeżeń. W istocie, wyłączenie lub dobrowolna nieobecność niektórych artystów (Soffici, Semeghini, Oppo, Morandi) nie znalazły i nie mogły znaleźć usprawiedliwienia wobec całkiem zbytecznego wystawienia szeregu dzieł wymuskanych i napuszonych. Ale, co najważniejsze, co jedynie ważne, to fakt, że ogólny poziom był wysoki (Casorati, Carra, Mafai, Menzio, Saetti, Seibezzi w malarstwie, Martini, Marini, Crocetti, Manzu w rzeźbie) i że objawił się pierwszorzędny, do dziś dnia niemal nieznany talent właśnie w osobie Giacomo Manzu. Młody rzeźbiarz z Bergamo, nie ukrywa bynajmniej pochodzenia swej sztuki od Medardo Rosso, ale ma on swój sposób wstydliwie bolesny i bardzo delikatny oddawania rzeczy ludzkich i swoiste modelowanie bardziej solidne i konstruktywne od kunsztu rzeźbiarskiego swego mistrza. Dla uprzytomnienia tego osobom, które go nie widziały, powiem, że stosunek jego do Rosso da się porównać ze stosunkiem Ravela do Debussyego.

Tym jednak, co najbardziej interesuje nas w wystawie weneckiej w porównaniu z innymi wystawami włoskimi lub zorganizowanymi przez inne kraje, to udział zagranicy. Tym razem był on nawet większy, niż zwykle, ponieważ do pawilonów już istniejących doszedł pawilon Rumunii, doskonale reprezentowany przez kilku malarzy wysokiej klasy, wśród których specjalną uwagę zwrócił Petrascu; poza tym po raz pierwszy nadesłały eksponaty Egipt i Szwecja.

Francja, idąc za obecnie już utartym zwyczajem, wystawiła obok kilku malarzy i rzeźbiarzy żyjących szereg znakomitych dzieł przeszłości: zabłysnął Renoir, geniusz, który w Wenecji, w bliskości Paola Veronese wydaje się, jak u siebie w domu, zajaśnieli światłem znacznie skromniejszym Laprade i Lebasque. Wśród młodych nie objawił się żaden nowy oryginalny temperament artystyczny, wiele rzeczy mogło jednak zastanowić i zainteresować. Najbardziej interesujący ze wszystkich był zdaniem naszym Simon Bussy, który w maleńkich swych pastelach opowiada stylem umiarkowanego surrealizmu cały szereg zajmujących „histoires naturelles", których bohaterami są przeważnie ryby i ptaki.

Niemcy objawiły we wszystkich wystawionych dziełach swoje nowe i stare oblicze, zarysowane silnymi liniami woli i oświetlone promieniami wiary wewnętrznej. Oczywiście wyniki artystyczne odrodzenia politycznego będzie można lepiej zaobserwować w przyszłości, kiedy ustanie potrzeba przeciwdziałania smutnej przeszłości i polemiki z nią; ale już dziś czuje się w każdym obrazie i w każdym posągu ugruntowany na nowo charakter, odnalezienie tonu i akcentu właściwego narodowi niemieckiemu. Z tego punktu widzenia najbardziej daje do myślenia rzeźbiarz Thorak.

Anglia wystąpiła z kilkoma nowościami jeżeli nie istotnymi to przynajmniej zamierzonymi. Przez wiele lat dawała nam oglądać z flegmatyczną stałością zawsze te same rzeczy poprawne, monotonne, pozbawione rumieńców krwi i życia. Można powiedzieć, że obecnie i tam daje się zauważyć pragnienie odnowy, zgodnej z różnymi prądami i kierunkami artystycznymi na kontynencie. Ktoś odczuł urok Modiglianiego, ktoś inny „zobaczył" Matisse'a; taki Epstein, rzeźbiarz, taki malarz Smith zdradzają gwałtowne poszukiwania dróg nowej ekspresji.

Z innych pawilonów najbardziej godny uwagi wydał nam się Pawilon Polski, w którym objawiła nam się Olga Boznańska, stara, u nas niemal zupełnie nieznana a doprawdy godna podziwu malarka (niektóre jej portrety o niezmiernie prostych środkach ekspresji to głęboko wzruszające dokumenty człowieczeństwa) i rzeźbiarz Jan Szczepkowski, który czerpie natchnienie ze źródeł tradycji ludowej, przystosowując ją do współczesnych wymagań z rzadką subtelnością uczucia. Interesujący był również Pawilon Szwajcarski, w którym dominowała spokojna, wspaniała, pełna łagodności siła rzeźbiarza Hubachera i wymieniony już pawilon Rumuński. Wysoki poziom wykazała produkcja artystyczna Belgii: między innymi Paulus przypominał i godnie kontynuował Meuniera. Wiele zamieszania i ruchu w pokojowo usposobionej Holandii, w której walczyli o lepsze ogniści zwolennicy ekspresjonizmu i chłodni, zamknięci w sobie surrealiści, natomiast idylliczny spokój w opływającej krwią Hiszpanii zawsze wiernej swemu wspaniałemu Zuloadze. I jeszcze rzeźbiarz czeski Josef Wagner, opatrzony darem oryginalnej syntezy plastycznej i swoistego hryzmu, oraz akwarelista węgierski Eugeniusz Kirchner, który dał trzy maleńkie dzieła o czarującej delikatności uczucia. Dania i Grecja, niestety, *tamquam non essent*. Co się tyczy Stanów Zjednoczonych Ameryki, to na zasadzie dzieł wystawionych można jedynie powiedzieć, że są one nadal zapatrzone w różne oblicza sztuki europejskiej.

Teraz wystawa jest zamknięta i opustoszała w cichym otoczeniu Ogrodów. Na to miejsce, sztuce poświęcone, opadają melancholijnie liście lipowe i kto wie jakie złudzenia miłości i ambicji. Żegnajcie, drogie lipy, żegnajcie, czarowne złudzenia, do widzenia na wiosnę roku 1940!

Jest to retrospektywny rzut oka na XXI wystawę sztuki w Wenecji, który nadesłał nam Diego Valeri, jeden z najsubtelniejszych poetów włoskich doby obecnej. Sylwetkę tego pisarza pomieścimy w jednym z najbliższych zeszytów „Wymiarów".



Fontanesi Antonio — „Nubi"

SALOME

Guillaume Apolinaire

By Jan Chrzciciel raz jeszcze uśmiechnął się do mnie
Panie piękniej tańczyła-bym niż aniołowie
Dlaczegoś matko moja tak smutna ogromnie
W hrabiowskiej sukni obok królewicza powiedz

Me serce biło biło tak w takt jego słowom
Gdy tańczyłam wśród koprów zasłuchana cała
I wyszywałam lilie na wstędze różowej
Co powiewać u końca jego laski miała

I dla kogo wyszywać ją dziś jeśli chcecie
Jego kij nad Jordanem znów kwitnie Herodzie
Gdy go wzięli żołnierze twoi zwiędło kwiecie
I wszystkie moje lilie powiędły w ogrodzie

Między drzewa parkowe tam będę was wiodła
Królu błaźnie wesoły nie płaczże na stronie
Zatańcz tę głowę wziąwszy zamiast swego godła
Nie dotykaj jej matko już zimne ma skronie

Panie pójdziesz na przedzie lub za trabantami
Pochowamy tę głowę dół zrobimy grząski
I nasadzimy kwiatów i wkrąg zapląsamy
I będziemy tańczyli aż zgubię podwiązki

Aż król swą tabakierkę zgubi
Królewna swój różaniec luby
Aż brewiarz zgubi proboszcz gruby

CUDZOZIEMIEC

Georges Chennevière

Z kraju czerwonych cierpień i martwej królowej
Powracam z daleka.
Lecz nie wyszedłem z niego, bo idzie wciąż za mną
I w drzwiach na mnie czeka.

I już stąd nie pochodzę. Jestem cudzoziemcem,
Co nie zna postoju;
Gościem, który na zegar patrzy, już gotowy
By pójść w drogę swoją.

Nie stawiajcie mi pytań. Wiecie, że w łzy tylko
Rozleją się słowa
I że je kryję w sercu, gdzie drga tajemnica,
Której chcę dochować.

Wszystko zda się jak dawniej, wzrok na swoim miejscu
Rzecz każdą odnalazł
I poznaję kształt drzewa każdego po tylu
Dniach spędzonych z dala.

Lecz to źdźbło obcej trawy wśród nagich kamieni
Rozwiało sen mój niemy,
Przypominając wszędzie ciągłą nieobecność
I mijanie, w którym żyjemy.

CZTEROWIERSZ

Robert Honnert

Pieśn czysta, krwią brocząc obficie
W oddali unosi się w bzach;
Ciężki jest zmierzch, powolne życie,
A ja piszę, by zabić strach.

Odilon-Jean Périer

*

Tajne me żniwo ci zawierzę
I resztą wina cię uraczę
Dziewczyno cichsza niźli zwierzę
Nosząca maskę mych przeznaczeń

Rozdarta lecz w uśmiechu łatwa
Nie znasz mych wszystkich bóstw wspaniałych
Oprócz cichego tego szału
W którym ja ciebie z nimi gmatwam.

WSTĘGA

Paul Valéry

Gdy niebo barwy twarzy śniącej
Da wreszcie pieścić swoje oczy,
Gdy w złotej chwili już ginącej
Między różami czas się toczy,
Wtedy przed niemym od rozkoszy,
Co trwa w obrazie tym ukryta,
Wolny Cień w tańcu się unosi
Na wstędze, którą zmierzch już chwyta.

Ta wstęga, wędrująca w ciemność,
Rozdziera w wiatru zrywie lotnym
Najwyższy związek między ziemią
I mym milczeniem tak zawiłym.
Niema mnie, jestem... Trwam samotny
I mroczny, o całunie miły!

GDY PRZYJDZIE ŚMIERĆ...

René Bizet

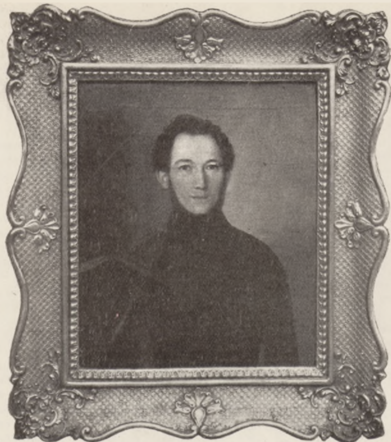
Gdy przyjdzie śmierć, odpowiem jej:
Unosisz z sobą spraw tak mało.
To ciało chore i bez siły,
To serce, które nic nie znało,
naiwny, nagi byt ten miły.

Nie mam w zbiedzonych dłoniach róż
I nie zaśpiewam pieśnią obcą.
W Raju nie będę mógł zawiłej
Powiedzieć baśni o złych chłopcach.
Indii, Japonii nie zwiedziłem.

Ja tylko chciałem, by wierzono,
Że wędrowałem całe życie.
Ale mój ogród Babilonu
Ni ogrodników miał ni sługi.
Ja jestem jednym z małych statków,
Który nie odbył swej żeglugi.

Panie! ja muszę zostać niemy.
Bo nie poznałem twojej ziemi.

Tłum. Alfred Kowalkowski



Portret Ludwika Geyera



Portret Emilii Geyer

SYLWETY PIONIERÓW PRZEMYSŁU ŁÓDZKIEGO — LUDWIK GEYER

Irena Jaworska

„Około roku 1820, w obrębie ziemi Łęczyckiej, wśród dziewiczych dokoła lasów, drzemała snem zapomnienia nędzna mieścina. Niczym się znakomitszym wśród okolicznych nie odznaczała siedzib: mały brudny rynek i z niego rozpryśniętych kilka ulic, biednie i rzadko zabudowanych, były przytułkiem kilkuset mieszkańców, z rolnictwa był utrzymujących, handel żaden, bo miasteczko żyło w samym sobie. Wtedy nie każdemu i znaną może nawet była ta osada, jedynie tylko dawnością swego istnienia szczycić się mogąca".

Dawnością swego istnienia szczycić się mogąca? O jakiej to nędznej mieścinie, której mieszkańcy rolnictwem się trudnili, mówi Flatt? A otóż właśnie: o Łodzi, o owej małoznaczącej wiosce, nazywanej „Lodza", którą przywilejem z początku XIV stulecia nadał Władysław, książę ziemi Łęczyckiej i Dobrzyńskiej, w wieczyste posiadanie Biskupom Kujawskim. Niewiadomo nawet dokładnie, kiedy i z racji czego wioska Lodza stała się miasteczkiem Łodzią. To pewne wszakże, że w splendory ze zmianą swego stanu nie porosła i że nadal wegetowała — mała, biedna i zapomniana wśród lasów i knieci.

Na początku ubiegłego stulecia przechodzi Łódź we władanie rządowe. I wtedy to na widownię dziejową i na wieczną faktów pamiątkę wkraczają ludzie tej miary, jak namiestnik ówczesnego Królestwa książę Zajączek, jak wielki minister skarbu Rządu Królestwa Kongresowego książę Ksawery Drucki-Lubecki, prezes Komisji Województwa Mazowieckiego, Radca Stanu Rajmund Rembieliński, komisarz fabryk Województwa Mazowieckiego Referendarz Benedykt Tykiel, Stanisław Staszic i inni.

Zatroskali się wielce zacni panowie nad dolą i niedolą ojczyzny swojej, wyniszczonej i zubożałej przez rozbiory i wojny napoleońskie. Pan Rembieliński, który pod wodzą Kościuszki brał udział w powstaniu narodowym, popierał Napoleona i był zaufanym księcia Józefa Poniatowskiego, tułał się nieco po Francji i Niemczech. Patrzył, porównywał, podglądał i myślał. O czym myślał pan Rembieliński? A no o tym, jak tę Polskę upodobnić do zagranicy, jak jej dopomóc. Rada w radę zebrali się ci mężowie stanu, a z wspólnych ich rozmów wynikła potrzeba sprowadzenia do Polski — z Czech, Prus i Saksonii — „pożytecznych cudzoziemców", którzyby dopomogli kraj odbudować gospodarczo. Długo trwały narady, rzucano rozmaite pomysły, aż wreszcie zgodzono się na jedno: że trzeba koniecznie przyciągnąć do kraju zagranicznych sukienników i tkaczy, zachęcić ich przywilejami i pożyczkami bankowymi, poprzydzielać im grunta w mających powstać osadach sukienniczych, porozdawać darmo drzewo na budowę i otoczyć opieką i gościnnością. A że właśnie wybrał się kiedyś pan Rembieliński na lustrację powierzonego sobie Województwa Mazowieckiego i powędrował traktem przez Łęczycę, Ozorków i Zgierz do Łodzi — tedy rozejrzał się po tej cichej mieścinie, zapamiętał sobie dwie rzeczki, przepływające przez miasto, źródła, bijące w nowym parku i lasy, w które obfitowała okolica (w sam raz na budulec przydatne) i postanowił w tym oto wybranym przez przeznaczenie miejscu powołać do życia osadę fabryczną — dla oczekiwanych z niecierpliwością Czechów i Saksończyków.

Jakże teraz zrealizować projekt tak trudny i śmiały? Wysyła się pospiesznie za granicę pana Benedykta Tykiela, naczelnika sekcji fabrycznej, by werbował czym prędzej do ośrodków fabrycznych saksońskich i czeskich sukienników. Podróż pana Tykiela nie minęła bez echa. Oto około roku 1826 z dalekiej Saksonii, z małego prowincjonalnego miasteczka Zittau, po długotrwałej podróży dyliżansem przybywa do Łodzi, młody, bo zaledwie dwudziestoparoletni syn fabrykanta bawełnianych wyrobów mody — jak to się dawniej mówiło — Ludwik Ferdynand Geyer. Podróż po wyboistych, niewygodnych traktach trwała długo, miał więc młody Ludwik sporo czasu, aby myśleć o nowej ojczyźnie, którą wybierał się właśnie spenetrować. Przybył młodzieniec do Łodzi, obejrzał sobie miasteczko: główną, ciągnącą się na przestrzeni 4 wiorst ulicę, zabudowaną schludnymi, parterowymi domkami, osadę sukienniczą, tkacką, przędniczą i „Szlezyng", nazwany tak jako że na nim skupili się rękodzielnicy, przybyli głównie ze Śląska, drewniany kościółek katolicki pod wezwaniem Św. Józefa, będący właśnie w budowie na rynku Nowego Miasta, kościół ewangelicki, Stare Miasto, czyli ulicę Podrzeczną, Rynek i Wolborską, zamieszkałe przeważnie przez ludność ży-

dowską, wybrzeża rzeki Łódki i mnóstwo innych jeszcze osobliwości tej mieściny, która w owym czasie liczyła już około 3.000 mieszkańców.

Pochodziwszy tu i ówdzie, pogadawszy z tym i owym powrócił młody Ludwik do rodzinnego Zittau, gdzie był zostawił matkę Zofię Szarlotę i ojca Adama Krzysztofa. Długie tam musiały toczyć się rozmowy między starym, konserwatywnym ojcem a młodym zapalonym synem. Rozważano szczegółowo możliwości i korzyści przeszczepienia się na obcy grunt, oczekiwano wiadomości o przyjęciu na tę obczyznę, która wkrótce stać się miała nową ojczyzną. Wreszcie na początku roku 1828 spakowano co lepsze i cenniejsze, to jest trochę odzieży, sprzętów gospodarskich, książek około 80, świadectwo z ukończenia szkoły w Akademii Berlińskiej, zaopatrzono się w pewne zasoby pieniężne, ze łzą w oku pożegnano rodzinne pielesze i udano się w podróż długą i męczącą.

Trzeba było załatwić po drodze pewne konieczne formalności, jak na przykład zadeklarować w komorze konsumowej w Kaliszu wszelkie przywiezione ze sobą zapasy fabryczne, trochę też deprymuje imigrantów nieznajomość języków polskiego i rosyjskiego, ale młody Ludwik stara się podtrzymać rodziców na duchu.

— Synu, niepokoiła się matka Szarlota, jak my sobie poradzimy z mieszkaniem? Bo to przecież najważniejsze, aby było gdzie postawić i sprzęt gospodarski i warsztat fabryczny, aby było gdzie schować bieliznę i odzież i książki. Jak my sobie, w tym obcym miasteczku, damy ze wszystkim radę?

Ludwik uśmiechnął się.

— Bądźcie spokojni, staruszkowie. Moja już w tym głowa, abyśmy spali pod dachem, w izbie ciepłej i przytulnej.

Powiedział „gemütlich". Matka rozchmurzyła się, wierząc znowu w dobrą gwiazdę swego jedynaka.

Po przybyciu na miejsce, z rzadką w tak młodym wieku energią, przystępuje Ludwik do pracy. Wynajmuje mieszkanie, podpisuje kontrakty oraz deklaracje i bierze się bezzwłocznie do drukowania perkali. Przywieźli właśnie panowie Geyerowie kilka stołów drukarskich, formy do drukowania oraz dość duży zapas farb. A posiadany nie wielki kapitał dopomógł do przezwyciężenia pierwszych trudności.

Robota aż pali się w ręku. Pan Rembieliński jeszcze w sierpniu tego roku taki raport przesyła Komisji Rządowej: „...fabrykant Ludwik Geyer od paru już miesięcy przeszło dwadzieścia warsztatów tkackich w mieście Łodzi na swój rachunek zatrudnia, a nawet dom drewniany, ale bardzo porządny własnym kosztem stawiany, pod dach już doprowadził...". Dom ten, postawiony na placu, oznaczonym nr. 281, graniczy z Piotrkowską, Górnym Rynkiem i ulicą Zarzewską, jedną stroną podchodząc do stawu. Wkrótce na tym miejscu oprócz domu drewnianego krytego dachówką, stoi już stajnia z wozownią gontami kryta i szopa do rożenia cegły. A w międzyczasie drukuje Ludwik perkaliki, sprowadza przę-

DAWNA ŁÓDŹ WG. SZTYCHÓW Z KSIĄŻKI O. FLATTA

„Opis Miasta Łodzi", wyd. w 1853 r.



Kościółek Św. Józefa



Park Miejski (obecnie „Źródliska")



Zakłady Ludwika Geyera

dzę z zagranicy, wstawia do mieszkań obcych tkaczy swoje warsztaty tkackie. Po roku pobytu w przybranej ojczyźnie w izbach po lewej i prawej stronie domu mieszkalnego znajdują się łóżka, komoda gruszkowa o dwóch szufladach, w nich 1 powłoczki na pościel, 22 sztuki koszul męskich i niewieścich, 4 ręczniki i obrus, dalej zegar stołowy na postumencie, lustro, szafa kuchenna, czerwono malowana, stolik, 6 krzeselek, flinta, wiatrówka i pałasz. Dalej znalazły się jeszcze 3 surduty sukienne, walizka z futrem, chustka merynosowa amarantowa i spora liczba książek. Młody Geyer okazuje się zapobiegliwym i pod innym względem: uprawia tuż za domem 2 morgi żyta oraz morgę różnych warzyw, ponadto kupuje konia, 2 krowy, 1 bryczkę saską, przechowuje siano, cegły, dachówkę i drzewo Ludwik myśli i o ludziach, których zatrudnia, stawia więc jeszcze dla swoich drukarzy 5 murowanych domków.

W międzyczasie grupa szlachetnych patriotów z Piotrem Wysockim na czele przygotowuje powstanie roku 1831. Ludwik Geyer dla nieznanych bliżej powodów spędza w Warszawie ów czas niespokojny. Po powstaniu zubożała i zgnębiona ludność Królestwa tym chętniej garnie się do fabrykacji, a na tanie perkaliki pana Ludwika znajduje się coraz więcej nabywców. Pan Geyer czuje nowy napływ energii: buduje płóczkarnię i bielnik, wykorzystując pobliskie stawy, nowy dom fabryczny, suszarnię i różne jeszcze inne budynki pomocnicze.

Lata biegną. Czas byłby, aby pan Ludwik założył wreszcie własne ognisko rodzinne. A właśnie w Berlinie czeka z niecierpliwością i umiłowaniem wielkim panna Emilia Turk, córka berlińskiego lekarza. Pan Ludwik jedzie do Berlina, bierze ślub i sprowadza młodą żonę do małego domku nad stawem.

W roku 1833, gdy rodzi się syn Adolf, zostaje sprowadzona z Wiednia pierwsza maszyna do drukowania perkali. Pan Ludwik zapuścił w nowy grunt trwałe już korzenie, pomnożył majątek, założył dynastię. Ale niewyczerpana energia i pomysłowość tego człowieka nie pozwalają mu spocząć na laurach. Zastanawia się, rozważa, kalkuluje, obmyśla. Postanawia wybudować nową, nowoczesną przędzalnię i tkalnię. Ale cóż? Na małym placyku, na którym pobudowała się rodzina, robi się ciasno i niewygodnie. Horyzonty myślowe i zamierzenia życiowe pana Ludwika potrzebują przestrzeni i widnokręgów. Cierpliwego oczekiwania nie znosi władcza natura tego człowieka. Nadarza się właśnie wyjątkowa okazja: niejaki pan Wilhelm Potempa zmuszony jest sprzedać plac, położony naprzeciw posiadłości Ludwika. Geyer nabywa plac pana Potempy, zamawia rysunki, maszyny, zwozi cegłę, najmuje murarzy, mularzy i cieślów. Budowa rośnie niemal w rękach.

Mniej więcej w tym okresie czasu przychodzi na świat drugie dziecko — córka, nazwana po babce Szarlotą. Trzeba więc pomyśleć o zostawieniu potomstwu portretów rodziców. Pomysł ten zostaje zrealizowany gdzieś poza Łodzią, z racji jakiegoś wyjazdu zagranicę, bo w tym zapracowanym mieście nie zdążył się jeszcze osiedlić żaden znakomity portrecista. Do pozowania wkłada pan Ludwik odświętne ubranie, płaszcz z małymi wyłogami, zapięty wysoko na dwa rzędy guzików, pani Emilia, według ówczesnej mody czesze się gładko i ubiera w suknię ciemną wyciętą. I nienajgorzej nawet obydwoje państwo Geyerowie wychodzą na tych portretach: u pana Geyera wysokie czoło doskonale odbija się z okoła ciemnych włosów, mały zarost wokół twarzy nadaje jej powagi i stateczności, wąskie usta mówią o zdecydowanej woli, spojrzenie oczu jest czyste, bystre i myślące. Pani Geyerowa, jak inne kobiety tego wieku, mimo swych młodych lat robi wrażenie statecznej, o dobrotliwym obliczu, matrony.

Już to przyznać trzeba, że życie państwa Geyerów obfituje wciąż w nowe zdarzenia. Rodzą się synowie i córki, buduje więc pan Ludwik ozdobny pałacyk dla swej licznej rodziny — według planów doskonałego architekta. We wsi pobliskiej Ruda, którą nabywa na własność, uruchamia olbrzymią cukrownię. Z dalekiej Belgii sprowadza do nowowzniesionej przędzalni i tkalni nowoczesne maszyny. A sprawa to niełatwa — sprowadzić je do Polski — trzeba je przecież przewieźć wozami z Leodium do Antwerpii, w Antwerpii załadować na statek, wyładować w Gdańsku, przewieźć Wisłą do Nieszawy, a z Nieszawy do Łodzi — końmi. Trochę w tym czasie brak panu Ludwikowi gotówki, ale od czego głowa na karku: Bank Polski ratuje z opresji niebylejaką pożyczką, bo złotych polskich 400 tysiącami. W tym czasie, to jest około roku 1840, gdy i przędzalnia i tkalnia zostały już całkowicie uruchomione, zdobywa również pan Geyer złoty medal na petersburskiej wystawie.

A w pałacu tymczasem coraz głośniej i gwarniej od przybywających dzieci. Szczęście rodzinne idzie w parze z pomyślnością majątkową. Ozdabia się więc pałacyk ślicznymi obrazami, zamierza się zorganizować teatr amatorski w znajdującej się w pałacu sali teatralnej. Zostaje pan Ludwik radnym miasta, członkiem „Towarzystwa Wyścigów Konnych i Wystawy Zwierząt Gospodarskich" — jako, że lubuje się w koniach i większą ich liczbę hoduje w prywatnych stajniach. A konie to musiały być rasowe, niebylejakie, skoro kiedyś nawet przedsięweźmie podróż końmi do ...Rzymu.

Dokupuje znów całe okręgi miasta, położone między ulicami Kątną, Wólczańską i Radwańską, zakłada kopalnię torfu, wydzierżawia tereny zaginionego fabrykanta Langego. W roku 1851 zanosi znowu prośbę do „podnóżka Tronu" o sprzedanie mu części lasu rządowego Lubochnia, gdzie chciałby przy pomocy zagranicznych kolonistów założyć przędzalnię lnu.

Jak to się stało, iż około roku 1860 popadł pan Geyer w trudności finansowe trudno doprawdy zrozumieć. Być może, iż kolos fabryczny przerósł już możliwości jednego, nawet takiego jak on, człowieka, być może, iż przeciągnął strunę w ciągłym projektowaniu i budowaniu. Zrobił parę nieszczęśliwych pociągnięć finansowych, zaważyło również na losie powstanie styczniowe z roku 1863. To pewne wszakże, że ostatnie dziesięciolecie — to okres zmagań, trudności i powolnego upadku.

Pan Geyer, dumny i do tej pory niezależny, cierpi, nagina się do zmienionych warunków, układa z wierzycielami, chce wybrnąć z impasu. Liczy lat 60, otoczony jest dwiema córkami i ośmioma synami. Jego rodzice już dawno spoczywają w grobie i tylko z żoną Emilią wrócić można pamięcią do pierwszych lat zapałów i sukcesów.

Tak mija jeszcze lat 5. Po władzę z kolei sięgają synowie, tak, jak to kiedyś on sam uczynił w stosunku do ojca. Umiera w wieku lat 65, po 42-letnim pobycie w przybranej ojczyźnie. Był naturą władczą, przewidującą, miał energię, rozmach i szczęście. Gdyby się był w innym środowisku urodził — być może, że zostałby mężem stanu. Ale ponieważ pochodził z mieszczańskiej rodziny fabrykantów perkali — poszedł w ślady swych przodków.

I tacy właśnie ludzie, jak Geyer, dzielni, energiczni i przewidujący, stali się budowniczymi potęgi Łodzi, która przecież mimo, że nie posiadała nigdy żadnych bogactw naturalnych, miała to, czego jej trzeba było zazdrościć najbardziej: ludzi czynu.

MAPA WOJEWÓDZTWA ŁÓDZKIEGO

Nakładem księgarni Seipella ukazała się sześciobarwna mapa województwa łódzkiego w skali 1:300.000. Na mapie mieści się ok. 6000 miejscowości sklasyfikowanych wg wielkości i znaczenia administracyjnego oraz dołączony jest ich spis alfabetyczny. Odnajdujemy tu dodatkowo siedziby i granice administracyjne, wszystkie linie kolejowe i autobusowe, rzeki, zabytki architektoniczne i lasy. Wykonanie, przejrzystość i estetyczny dobór kolorów znajdują się na bardzo wysokim poziomie.

W sumie mapa omawiana śmiało może być nazwana encyklopedią wiadomości o województwie łódzkim, tym bardziej niezbędną, że niedawno zaszły zmiany granic.

Władysław Szczygielski

Nie piszę w ciszy gabinetu — nie mam ciszy i nie mam gabinetu. Piszę w jednopokojowym mieszkaniu, którego pożyczone umeblowanie składa się z łóżka, stołu, czterech krzeseł i miski do mycia oraz nie pożyczonej skrzyni do węgla. Mieszkam przy szosie w jednym z zadeszczonych, smutnych i brudnych budynków zabitego deskami od świata miasteczka J. Jest to dziura bez światła i wielkomiejskich bruków zamieszkała przez trzy tysiące łyków, których cechuje tępota, zawiść, lenistwo, chytrość, brak elementarnych zainteresowań. Jest tu pięknie latem — od maja do września, kiedy miasteczko ginie wśród piętrzących się zielenią gór, — i zimą od grudnia do lutego, kiedy całe miasteczko jest przysypane całunem śnieżnym jak w bajce. Ale teraz tonie ono w tłustym, gliniastym, lepkim błocie i jest pełne mrocznej wilgoci, przenikającej dreszczem całe ciało. Nastrój: wiatr wyje, lampa naftowa kopci i cuchnie, niesmak i nuda, czad w głowie — ordynarny niepokój: zarzucił mnie tu przypadek — dokąd zarzuci na przyszły rok?

Piszę jako typowy okaz człowieka na tle dzisiejszych przejściowych czasów: nie chcę przybierać póz interesujących, robiących „wrażenie", nie będę się usprawiedliwiał ani kajał i nie będę tworzył wystylizowanej legendy o sobie. Słabość i poczucie zmniejszonej wartości to rzeczy niemiłe i dlatego doznający tego uczucia dokonywują często w swych opowiadaniach rekompensacji, przewartościowując siebie na figury pierwszoplanowe. Ja zaś chciałbym się zdobyć na maksimum szczerości, o ile tylko taka bezwzględna szczerość jest możliwa.

Połowę mojego zycia spędziłem w szarym mieście, „mieście" Łodzi.

W ciasnocie małomiasteczkowej atmosfery tego miasta powstały we mnie przesądy „lepszej sfery" i głupiej drobnomieszczańskiej pychy, nieznośnej dla otoczenia. Potrzeba mojego wywyższenia się była smutnym nieporozumieniem, kruszyła się więc moja bezcelowa energia i zdolności — przypadkowe dziedzictwo — wśród karłowatości tego drobnomieszczańskiego społeczeństwa.

Dziwne miasto, „złe miasto", zaludnione na krańcach przez robotników, rzemieślników, chałupników, a w centrum — przez uprzywilejowaną „wyższą sferę". Z jednej strony ludzie, gnieżdżący się całymi rodzinami kątem w ciasnocie jednego pomieszczenia i atmosferze „armeleutegeruche" ludzie z konieczności korzystający z najlepszych produktów, wypluwający płuca i skręcający się w bólach reumatycznych: z drugiej strony potomkowie kondotierów, przybyłych z różnych stron Polski, dorobkiewicze, fabrykanci, ugodowo-klerykalni kupcy, biuraliści, majstrowie, inżynierowie etc. Ubierają się oni „modnie", kobiety i młodsi naśladują „gwiazdy" i „gwiazdorów" filmu czy rewii — nowoczesnych herosów, a ideałem młodzieży jest sporo wykwintnego jedzenia, dużo napojów wyskokowych, jak najwięcej czasu wolnego od pracy, piękne mieszkanie, składające się obowiązkowo z „hallu", „gabinetu", „salonu", pełnego wyszywanych poduszek i malowanych lalek. Wiecie wy, jakie wartości intelektualne przedstawiają tu kobiety? Ta się pięknie ubiera, tamta jest zgrabna, ta ma gust — to wystarczy, to wszystko: głębia nie jest potrzebna do szczęścia. Wystarczy twarz, nogi, figura. Dusza — to ambicyjki, słabostki, plotczki, ukłucia. Pozory są tu wszystkim, są treścią życia tych małych kobietek, grających pierwszą rolę. I nikt tu nie ma żadnych złudzeń, wszystko jest pozorem, gestem, dekoracją. Wszystkie są miłe i puste, wszystkie patrzą „zagadkowo" z poza długich, przyprawionych rzęs, są szablonowo efektowne: duże oczy, zmysłowe usta, białe zęby, prężne piersi, kołys bioder, „elastyczny chód". Łączą one w sobie zmysłowość, szelmostwo i wyrachowanie, lubią życie ułatwione, chodzą utartymi drogami. O wszystkim decyduje tu dobrze skrojone ubranie i nogi, stworzone do tańca, — to podbija świat.

Sfera ta ma swoją moralność, swoje zainteresowania, ulubione sztuki teatralne, filmy, swoje ulubione książki i pisma, ma własny świat spraw, nadaje ton.

Cała ta zgraja małych ludzi, grająca pierwsze postacie życiowe jest bezmyślnie płytka i zadowolona. Alfą i omegą ich zycia jest protekcja i interes oraz tak zwana „opinia": jak ognia boją się śmieszności. Intelekt nie większy od grochu, jak mózg krokodyla. Mówią z jednakową pasją o stosunkach miłosnych, które zostały sprowadzone do uczty cielesnej dreszczu zmysłowego (w tym umieścili swoją „nieskończoność" i to zastępuje im „raj"), mówią z taką samą pasją o sporcie, o awansach, pensjach, pończochach, pantoflach, krawatach. Bywanie w „lokalach", „dancingach", „rewiach" itp. daje im złudzenie siły i zadowolenia — swoistą realizację marzeń. Przy tym istnieją tu różne stopnie uprzejmości, uśmiechów, podawania ręki, wstawania, zdejmowanie kapelusza. Głupota, płytkość, brak polotu, ubóstwo pomysłów, brak wyobraźni, chroniczna gruboskórność i banalność, chamski egocentryzm — oto ich siedem grzechów głównych. A najgorszymi są tu rycerze szantażu, cwaniacy, blagierzy, którym udaje się czelnością zahukać głupszych: każdy z nich uważa się za lepszego, bardziej wartościowego, gardzą więc sobą nawzajem i nie ufają — banda kiepskich fuszerów gry życiowej, która ma swoistą moralność tolerancji w stosunku do sprytnych afer, pomysłowych sposobów wzbogacania się. Mrowisko to nie czuje swej niższości, jak pluskwa, co nie czuje, że śmierdzi, ludzie są dumni ze swych stanowisk, „poglądów" i „zasad", a jeżeli nawet znają swe braki, bezczelnie to negują, wymagają oznak szacunku i w roli „chlebodawców" czynią z siebie punkt centralny, nie znosząc zarzutów ani opozycji.

Cała ta uprzywilejowana zgraja trzyma zgięty pod swoją pięścią lud pracujący w kałuży, wymaga służalczości, pomiata robotnikiem, depcze po nim tak, że życie zaczyna się wydawać robotnikowi fatalnością już od urodzenia, bez żadnego z jego strony wyboru: dlaczego tamten urodził się dzieckiem fabrykanta, a oni — robotnikami? Przecież przy urodzeniu się nikt nie ma wyboru co do swego otoczenia, które jest przypadkowe, — więc dlaczego? Z jednej strony poczucie krzywdy, z drugiej — pogarda dorobkiewiczów. Inaczej mówią ludzie na stanowiskach, inaczej — ludzie bez stanowisk: tamci są pewni siebie, ci — pełni goryczy w swym zawodzeniu. Walka jest nieuczciwa, podstępna, bezwzględna: kariera jednego — to kilkaset złamanych karier dla innych. Biada temu, kto upadnie: nie zostaje po nim nic, może zdechnąć z głodu.

Otóż w takim mieście ugrzązłem, zaplątałem się w małej siatce świetnych „możliwości". Nie mogłem ustrzec swej działalności od poniżających wpływów otoczenia, zagmatwałem się w niedorzeczności codziennych, mieszczańskich spraw, przetartej, taniej, samolubnej rywalizacji zdobywania odrobiny kariery. Zwłaszcza, że całe miasto żyje plotką, urastającą do potwornych rozmiarów. Łódź nie znosi wprost intymnego, prywatnego życia, żadnej jego tajemnicy, najlżejsze odruchy rozbrząsa niemiłosiernie w „towarzystwie". Niech się komu noga podwinie, już rzucają się nań wszyscy, z drobnostek zrobią garb. Lokalna inteligencja stale wtrącała się do mego życia prywatnego, tak, że nie mogłem wprost znieść tego natarcia tłoczącej się poufałości i poufności.

Mówiono o mnie z zagadkowym uśmiechem, używając wielomównego przemilczenia: „nieobliczalny człowiek".

W rodzinie mojej nie było wybitnych talentów i nie mógłbym określić, co po kim odziedziczyłem. Mam wrażenie, że po matce odziedziczyłem impet wewnętrzny, dążenie do zmian i przodowania, po ojcu — strach przed odpowiedzialnością, a zarazem arbitralny upór.

Jestem popędliwy i wyrozumiały zarazem. Mam taktykę machiawellistyczną, chcę realizować swój subiektywizm despotycznie w egzaltowaniu własnej wartości i ambicji „wodzostwa". Mam inteligencję poniekąd schizofreniczną, t. j. konstatuję u siebie zaburzenia w kojarzaniu: przeskakuję w rozmowie do ostatecznych wniosków, opuszczając pośrednie ogniwa. Mam dar wymowy, choć jestem lakoniczny w swych powiedzeniach.

Skłaniam się ku solipsyzmowi, choć nie mam zdecydowanego zamiłowania do zycia w pojedynkę. Jestem przeczulony, rozdwojony, przerzucam się od wesołości do smutku w subiektywnym przewrażliwieniu. Skupiam się

w sobie, mam w sobie skłonność do odgrywania roli męczennika — łatwość podlegania przypadłościom nerwowego układu, zmienne i lotne nastroje.

Mówią o mnie, że cechuje mnie serdeczność, że jestem wartościowy, miły, ujmujący, że posiadam zdolności budzenia czasami humoru, mimo dziecinienia smutnych oczu, że mam szeroki horyzont, duży zasięg zainteresowań umysłowych i społecznych. Ocena ta nic, naturalnie, nie mówi. Sam o sobie wiem, że nie posiadam bujnego temperamentu, że chociaż ujmuję sobie kobiety swoją kurtuazją i serdecznością, to jednak nie promieniuję na swoje otoczenie. I chociaż jestem łatwo udzielający się, to czasem jestem jednak dla ludzi przykry, bardzo arbitralny, wyniosły, po megalomańsku opryskliwy, mający w sobie stałe, nie wyczerpane źródło cierpienia. Jedni twierdzą, że jestem uczciwy, drudzy — że przewrotny, jedni — że jestem egoistą, drudzy — że jestem dobry, jedni — że jestem zdolny, drudzy — że lekkomyślny, jedni widzieli we mnie energię twórczą, drudzy — karierowicza; otóż prawdą jest, że jest we mnie jedno i drugie. I kiedy uchodziłem za człowieka nieczułego, rządziły mną zawsze porywy uczuć prawie, że nie obliczalne, godzące w mój byt i przyszłość. Tak czy inaczej dziwię się, że jestem lubiany, stanowię bowiem typ hipochondrycznego neurastenika: wątroba, bóle żółciowe, rozstrój nerwowy.

Żywot mój składa się z burzliwych etapów, pełnych „fatalistycznych" okoliczności. W życiu swym widzę przypływy i odpływy energii: gorączkowa praca — i załamanie. Bywają długie miesiące pustki nerwowej, tępoty, jałowości. W tych okresach depresji bywa szczególny stan podrażnienia, wszystko przyjmuje się z egzaltacją, wszystko rani, czuje się wrogość wszystkiego. I nagle następuje wybuch impulsywnej twórczości z ożywieniem erotycznym.

Mam idealistyczną postawę wobec życia, a przecież jednocześnie mam w sobie zdolność rozbiorczą rzeczywistości, doskonale analizuję i odnajduję linie syntetyczne. Myśleć logicznie i celowo nie jest łatwo, działać zawsze w porę jest rzeczą najtrudniejszą na świecie. A właśnie moja postawa wobec życia była chwiejna i zawsze w działaniu zawadzała. Wszystkie moje decyzje czynią wrażenie zależnych od nagłego kaprysu lub napięcia nerwów. Jest to tym bardziej dziwne, że obecnie jestem opanowany, zrównoważony; pewność siebie spowodowała duchowe odprężenie, mogę sobie pozwolić na naturalność w zachowaniu, a opanowanie umysłu wpłynęło na opanowanie ciała.

Jestem samolubny, jak wszyscy ludzie małego wzrostu, nie znoszę przymusu i nie znoszę krzywdy: nie mogę nawet wyobrazić sobie rozmyślnego okrucieństwa ani sadyzmu. Nie jestem mściwy, ale jestem zawsze gotów do najdziwniejszych czynów w dążeniu do ujawnienia potworności. Mam w sobie naturę lekkomyślnego ryzykanta, mam w sobie łatwość przeskakiwania przez przeszkody i łatwość panowania nad sytuacją. I za każdym razem jestem wstrząśnięty nowymi doznawanymi prawdami życia, z porażki robię sobie cnotę doświadczenia. Byłem zawsze impulsywnie czynny, rzucanie się naprzód poprzedzało we mnie rozwagę, a później w sposób wyrafinowany analizowałem, dlaczego się tak stało. Bezładny w sprawach materialnych, leniwy przy wielkiej ruchliwości umysłu, ulegający złudzeniom, udzielający złudzeń otoczeniu w dobrej wierze, potrafię natchnąć, rozgrzać czy porwać — nie potrafię realizować: należę do niepoprawnych uczuciowców.

Naturalnie powyższe psychopatyczne objawy nie są biletami na Parnas, tym nie mniej są fermentem demonicznym umysłowego napięcia: nadciśnienie tworzy nieustanny niepokój, który sprawia, że człowiek nie jest nigdy zadowolony z siebie i zawsze kontroluje. Któreż to urazy psychiczne stały się tu bodźcem twórczym? — nie wiem. Muszę to zbadać od początku — od dzieciństwa.

DROGI DO ŁADU SERC

Stanisław Bukowski

„Spójrz: godzina przedwieczorna. Październikowy dzień, nasiąkły deszczem, rozrywany wiatrami, szybko ustępuje przed niecierpliwą nocą. Już nadciąga w ciężkich zwałach chmur, nisko, jak wielkie szeroko rozczapierzone ptaki sunących ponad ziemią. Po krótkiej ciszy znów zrywa się wiatr. Wilgotny, nasycony oparami łąk i mokradeł sedelnickich. Wiatr zapadłej Białorusi, dróg rozmiękłych jesienną porą, lasów, rozległych błot i wydm". W ten sposób wprowadza nas w swą powieść Jerzy Andrzejewski*. Akcja jej rozgrywa się w środowisku pierwotnej jeszcze prawie wsi z dala od wielkich dróg tego świata. Nie poznajemy jednak sielanki, przed nasze oczy w tragiczną noc kładą się przeżycia ludzi zmarnowanych przez życie. Urasta ono tutaj w siłę fatalną, przenikającą do najbardziej oddalonych osiedli ludzkich, jako zło z miasta, zło zatrute jego zepsuciem i cynizmem. Sedelniki są właściwie środowiskiem spokojnym, ale nabrzmiały w tej wsi niewidzialne konflikty, które nagle w jedną noc znajdują swoje tragiczne rozwiązanie. Bieg wypadków jest tak szybki, że nawet w toku spokojnej narracji autora wszystko przewala się przed nami jak burza. Wspaniały Siemion umiera. Żona jego Taisa nie przewiduje jeszcze tego, ale przeczuwa już nadchodzące zło i przyjmuje je z aktywną rezygnacją. Wyraża się ona w zdecydowanym postanowieniu: nie ma życia bez Siemiona. Jest to więc rezygnacja z życia kosztem samobójstwa, za którym czai się ogromne uczucie i przywiązanie do cudownego wprost człowieka. Siemion udał się najlepiej Andrzejewskiemu, jest niezwykły, pełen rzadko spotykanej harmonii i na swój sposób doskonały. On i Taisa posiadają na pewno określony zupełnie ład serca. Tym ładem przesycają całe swe życie i zgodnie z jego postawą postanawiają każdy swój czyn. Wprawdzie Taisa przez moment załamała się pozwalając na zbyt wielką poufałość brata Siemiona, ale później z chwilą śmierci wiedziała już co należy uczynić bezwzględnie. Życie i śmierć tych ludzi, choć nie są wrośnięte w powieść głównym nurtem opowiadania, odbijają bardzo wyraźnie od reszty postaci. Sedelniki nie miały do ludzi szczęścia. Ludzie zgrani, o podejrzanej czasami przeszłości osiedlili się tutaj, w swoisty sposób rozumiejąc emeryturę swego życia. Do takich należy stary łotr Litowka, który zakłada w Sedelnikach karczmę i sprowadza nawet do niej dziewczynę. Anna jest jedną z najbardziej nieszczęśliwych postaci powieści. Nie po raz pierwszy w literaturze spotykamy kobietę tak złamaną przez życie. Ta jednak szczególnie niesprawiedliwie stoczyła się na ulicę. Jej sprawa wiąże się zresztą zupełnie ściśle z osobą proboszcza sedelnickiego, z ks. Siecheniem. Sądzę nawet, że rozwiązanie ich sprawy jest najmniej udane w dobrej zresztą powieści. I to wbrew zamierzeniom autora. Ks. Siecheń jest właśnie mężem Anny w świeckiej fazie swego życia. Anna była z nim bardzo szczęśliwa, aż pewnego razu została sama. Nagłego zniknięcia Pawła nie mogła zrozumieć, choć otrzymała wyjaśnienie, że poświęcił się stanowi duchownemu. Życie rozdzieliło ich na lat kilkanaście i znów rzuciło ku sobie w Sedelnikach. Anna była już kobietą upadłą i pełna goryczy brała udział w rozmowie, która przywołała z przeszłości wspomnienia szczęścia i tragedię późniejszego losu. Mimo zmian poznali się w tej rozmowie oboje. Ks. Siecheń wyjaśnił powtórnie, że powołanie było silniejsze nad poczucie miłości i obowiązku. W tragicznej i szybkiej rozmowie nastąpiło jednak odkupienie winy. Anna zrozumiała ks. Siechenia i jego nieporozumienie młodzieńczego życia. Jednocześnie pojęła i inną prawdę, bardziej irracjonalną — konieczność i Boga. Przeżycie było tak głębokie, że „kiedy w chwilę później Litowka zszedł na dół zastał Annę w tym samym miejscu i ciągle z zamkniętymi oczami. Łzy spływały po jej twarzy. Stał chwilę, wreszcie bez słowa wyszedł". Więc nawet i on zmuszony został powagą jej duchownego stanu do uszanowania momentu odrodzenia duszy poprzez głębokie etyczne

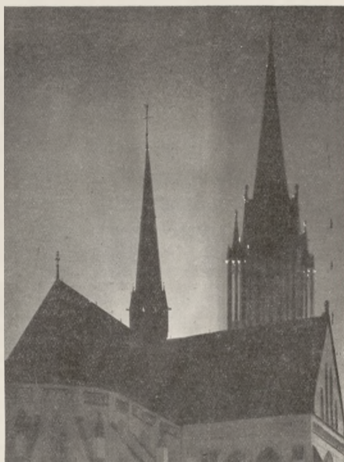
* Jerzy Andrzejewski. Ład serca. Rój 1938.

wzruszenie. Mimo to na ks. Siecheniu ciąży jakaś niezręczność. Jest również coś niepokojącego w jego charakterze, co się szczególnie uwidacznia w zatargach z Michasiem. Z tego też powodu postać księdza niepokoi czytelnika, tym, co w związku z tytułem powieści można nazwać brakiem ładu serca. W całe jego postępowanie wrosło właśnie owo wspomnienie Anny, nie widzimy tego wyraźnie, ale odczuwamy, że ks. Siecheń skrywa w sobie bolesną tajemnicę. Chce ją usunąć ze swej świadomości wielką gorliwością religijną i duszpasterską, ale w dalszym ciągu ciąży nad nim wspomnienie wyrządzonej przed laty krzywdy. Być może, że to ujemne wrażenie czytelnika wynika ze zbyt szczupłego miejsca w powieści, jakie poświęcił autor rozwiązaniu sprawy ks. Siechenia i Anny. W czasie ich rozmowy, gdy poznali się nawzajem, nastąpiło zrzucenie przez księdza tego ciężaru, który gniótł go do tej pory bezlitośnie. Autor tak o tym powiada: „Nagle twarz ks. Siechenia rozpromienił łagodny, jasny uśmiech". Ten uśmiech wywołał odrodzenie Anny i widzenie tych rzeczy, których w czasie swego upodlenia już nie rozumiała. Jest to jednak dość szybkie i mało umotywowane, zbyt pospieszne, a jednocześnie nie dość psychologicznie usprawiedliwione. Sąd ten tym bardziej wydaje się słuszny, że później wypadki toczą się błyskawicznie do tragicznego finału i nie jest już prawdopodobne, aby Anna posądzona o udział w zabójstwie Nawrockiego mogła się z posądzeń uwolnić właśnie ze względu na swoją przeszłość. Może zbyt rozwlekłe wnikanie moje w sprawy Anny i ks. Siechenia odsuwają na plan dalszy znacznie ważniejsze momenty powieści, a szczególnie jej postawę moralną. „Ład serca" odrywa nas od zagadnień masowych i społecznych prowadząc na właściwą drogę do sumienia człowieka. Jednostkowe przeżycie, głębokie wstrząsy, wnętrze duszy ludzkiej, odsłania nam autor z dojrzałą i ścisłą precyzją. Człowiek Andrzejewskiego uwikłany jest we własne czyny i zadręcza się niepokojem. Chytry łotr Litowka nawet za kontuarem szynku ukrywa się przed wspomnieniami przeszłości. Dźwięk pewnych nazwisk, a zwłaszcza słowo „Morawiec" przyprawia go o paniczny lęk. Nie ma bowiem czystego sumienia i boi się zemsty niedawnego kolegi rozboju. Zresztą cała galeria ludzi Andrzejewskiego jest aż za bardzo prawdziwa, jakżeż to wszystko upadło w proch własnego upodlenia. Jabłoński, Burak, Morawiec, Gejżanowski. Ten jest szczególnie z tej galerii interesujący — ma twarde i nielitościwe sumienie, nie reaguje na ból i nieszczęście człowieka. Aby odsunąć od siebie podejrzenia i aby zapobiec zdemaskowaniu jego udziału w drodze do zła Buraka, brutalnie likwiduje Nawrockiego ciesząc się złośliwie, że zbieg okoliczności zwalił podejrzenie na Litowkę i Annę. Mimo to, a może właśnie dlatego zachowuje swą pozycję społeczną, dość uprzywilejowaną. Inny charakter mają ludzie upadli, nawet tak zapamiętały zbrodniarz jak Morawiec przez zetknięcie się z ks. Siecheniem odnajduje w sobie drogę do zbawienia. Od czasu do czasu na bardzo ludzkie i bardzo małe sprawy pada właśnie to światło, które oderwało Pawła od Anny i kazało mu nieść je między targanych zbrodniami ludzi. Andrzejewski nie odtwarza nam psychiki bohaterów dla celów poznawczych. Ukazuje nam natomiast w zakamarkach plugawego nawet charakteru odrobinę człowieka. Ta odrobina rzuca szerokie refleksy na noc, wiszącą, ciężko nad Sedelnikami. Autor z pasją tropi wszystko, co dobre jest w jego postaciach, co umożliwia w godzinie załamania się życia odnaleźć właściwą jego drogę. Ta odrobina dobrego usprawiedliwia człowieka i podnosi znaczenie powołania ks. Siechenia, choć je realizuje poprzez krzywdę Anny. Ks. Siecheń szuka przecież człowieka, aby go podnieść nie tylko z ziemi, ale aby go jednocześnie zbliżyć do nieosiągalnej doskonałości.

Ta pasja ks. Siechenia i jego samozaparcie ukazuje nam przed oczyma drogę do ładu serca. Drogą tą jest żywe i czułe sumienie człowieka.



Chrystus z krzyżem — pomnik ks. Skorupki w Łodzi



Katedra łódzka w nocy

Fot. Wł. Pfeiffer

OBRACHUNKI LITERACKIE

Grzegorz Timofiejew

W szeregu ostatnich wydawnictw krytycznych dwa zasługują na uwagę ze względu na swój aspekt ogólniejszy: wydany wzorem lat ubiegłych przez Instytut Literacki w Warszawie „Rocznik Literacki za rok 1937", podający skrupulatnie wszystkie pozycje w czasie wymienionym, oraz publikacja K. Czachowskiego p. t. „Najnowsza polska twórczość literacka".

Nowością, gdy chodzi o tegoroczny „Rocznik", jest brak artykułu wstępnego, w którym zazwyczaj pióra tej miary, co Irzykowski, Kołaczkowski i Łempicki, wytyczały drogi rozwojowe naszej literatury. Obecnie przechodzimy ad rem. K. W. Zawodziński, omawiając obfity plon 120 tomików poetyckich, stwierdza słusznie brak wybitniejszych manifestacyj. Nie wydaje się natomiast dość trafna uwaga o kryzysie Awangardy: powstanie „Pióra" temu przeczy.

Dziedzina dramatu i powieści nie wyróżniła się niczym szczególnym, choć popularnością się cieszyły takie utwory jak „W polu" Rembeka, „Gałązka rozmarynu" Nowakowskiego i inne. Dział wznowień wysuwa na czoło edycję Norwida, listy Orzeszkowej, pisma Piłsudskiego i in.

Bardzo szeroko omówione zostały tłumaczenia z literatury obcej. Według zestawień większą poczytnością zaczyna się cieszyć literatura niemiecka, gdy tymczasem moda francuska raczej ustępuje.

W dalszej części m. in. J. Krzyżanowski omawia wnikliwie historię literatury, M. Kridl — teorię.

O czasopiśmiennictwie literackim zwięźle i trafnie informuje T. Makowiecki, pisząc m. in.: „Na ogół rozwija się ono na skrzyżowaniu dwóch dróg: prowincjonalnego kramikarstwa i współuświadomionych wielkich prądów w skali światowej. Obie te przyczyny wywołują i podtrzymują ten sam objaw — omnibusowości; faza wąskich specjalizacyj jakby już mijała".

P. Grzegorczyk, pisząc n. t. „Życie literackie w Polsce", porusza wiele aktualnych i bolesnych u nas spraw. „W refleksjach uczuciowych życia literackiego — stwierdza — nie trudno wyczuć podobnie jak w życiu społecznym silne antagonizmy i wzajemne rozjątrzenie. Nienawiść jest nie tylko motywem literackim, ale też jednym z motorów życia literackiego".

„Rocznik" zamykają informacje o przekładach literatury polskiej na języki obce.

Wydawnictwo mimo swego charakteru przeważnie przeglądowego oraz braku ujęć syntetycznych w wielu działach — spełnia rolę pożytecznego przewodnika po literaturze i orientuje względnie najlepiej.

Publikacja K. Czachowskiego „Najnowsza polska twórczość literacka" (wyszła nakładem Państw. Wydawnictwa Książek Szkolnych we Lwowie), sumuje nader pracowicie uwagi na marginesie lektury poezyj i prozy za rok 1935—7, z tendencją syntetyzowania w niektórych rozdziałach. Stanowi więc jak gdyby dalszy ciąg „Obrazu współczesnej literatury polskiej".

Najciekawsze są właśnie te próby ogólnego poglądu na rozbieżne często dążenia twórcze naszego czasu i obserwacja dokonywującej się obecnie przemiany we współczesnych prądach.

„Współczesna twórczość literacka — pisze na wstępie K. Czachowski — zwłaszcza w przeciętnych swych przejawach grzeszy na ogół brakiem woli ujarzmiania. Stąd powstaje konflikt z potrzebami dzisiejszej świadomości społecznej, która w sztuce poszukuje nowego widzenia rzeczywistości, jeśli nie wręcz objawienia zbawczego czynu".

Zdaniem krytyka zaznacza się już reakcja przeciwko kontemplacji przeżywania jako kierunkowi sztuki. Współczesność woła o postulat działania. Celem nowej literatury będzie wyzwolenie nowego człowieka w nowym świecie pracy czyli taka twórczość, w której — jak mówi Czachowski — estetyka i etyka sprzymierzą się nierozerwalnie.

Tendencja ta przebija już w naszej literaturze, aczkolwiek brak nam ciągle wzmożonej woli twórczej.

O KULTURĘ JĘZYKA W PRASIE CODZIENNEJ

Maria Nalepińska

W Warszawie odbyło się kolejne zebranie dyskusyjne Towarzystwa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka z odczytem prof. A. Chojeckiego na temat: „Dzienniki — kopalnią błędów językowych". Ponieważ „mowa rodzinna jest podwaliną odrębności narodowej", a jej ochrona — „powinnością każdego Polaka", podajemy z tego posiedzenia szczegółowe sprawozdanie.

Miejscem zebrania, jak zwykle, była siedziba Kasy im. Mianowskiego w pałacu Staszyca. Kto po raz pierwszy wchodzi do tego przybytku, czyni to z pewnego rodzaju nabożnym skupieniem: wydaje mu się, że duch wielkiego Staszyca unosi się nad zebranymi przypominając, że dla dobra państwa i narodu poświęca się wszystko, nawet niekiedy własne przekonania. Niskość sali zdaje się pomagać ześrodkowaniu myśli...

W skupieniu słuchamy wywodów prelegenta, który stwierdza, że pod względem języka stan obecny dzienników przedstawia się źle. Przyczynę tego widzi w pośpiechu, w jakim powstają dzienniki. Ten ma widoki większego powodzenia, który wyprzedza inne w podawaniu wiadomości; stąd — niemożność należytego wystylizowania aktualności i trudności dokładnego przeprowadzenia korekty. Drugą przyczyną jest nie dość wysoki poziom pracowników wielu pism codziennych.

Wymienione przyczyny powodują błędy wszelkiego typu: w dziedzinie głosowni, odmiany, słowotwórstwa, składni, szyku wyrazów, nie mówiąc już o przestankowaniu. Prelegent popiera swe wywody licznymi przykładami, uzupełnianymi przez obecnych z prof. Witoldem Doroszewskim na czele. Słyszymy więc takie osobliwości językowe: Wisłostrada (zamiast: Nabrzeże Kościuszkowskie), naświetlić zagadnienie (zam.: oświetlić), rozbudować fundusz, rozładować bezrobocie, oddać strzał (zamiast: dać) i t. d., i t. d.

Prelegent zwraca uwagę na źle utworzony a, niestety, rozpowszechniony wyraz: komisaryczny zamiast: komisarski (na wzór: pisarz-pisarski), którą to poprawną formę już wprowadził jeden dziennik stołeczny, bardziej dbały o swój poziom.

Zebrani podkreślają zanieczyszczanie języka zbędnymi a dla szerokiego ogółu, któremu dziś służą dzienniki, przeważnie niezrozumiałymi wyrazami obcymi w rodzaju: ZINTENSYFIKOWANIE wysiłków robotnika, ustawa o czasie pracy INAUGURUJE..., ekipa (drużyna, zespół), reżim (ustrój), prestiż (powaga, stanowisko), moment (chwila) i t. d., i t. d. i t. d. Zwrócono również uwagę na zmienianie kolejności imienia i nazwiska bez żadnej zgoła potrzeby i wbrew duchowi naszego języka, który wszak wymaga umieszczania imienia przed nazwiskiem.

Wśród przyczyn upadku kultury językowej, wymieniano i tę, że między osobami, zabierającymi dziś w tej czy innej formie głos na łamach prasy, znajdują się liczne jednostki narodowości niepolskiej, oraz takie, które posługiwanie się wyrazami obcymi i unikanie prostoty stylu uważają właśnie za dowód a nawet warunek należenia do inteligencji.

Ktoś z zebranych zauważył, że temat odczytu winien był raczej brzmieć: „Dzienniki — rozsadnikiem błędów językowych", i domagał się wszczęcia energicznych kroków przeciwdziałania szerzącemu się złu. Słuchacze z uznaniem usłyszeli, że Zarząd T-wa Krzewienia Poprawności i Kultury Języka zwracał się już był w tej sprawie do przedstawicieli syndykatu dziennikarzy, zgłaszał nawet gotowość przeprowadzania korekty, na razie jednak do porozumienia nie doszło.

W toku dyskusji rzucono myśl, że skoro na zawartość dziennika składają się: 1) telegramy agencyj telegraficznych, 2) wiadomości bieżące redagowane przez stały zespół redakcyjny,

3) artykuły zamówione, 4) wiadomości z życia społecznego, nadsyłane przez różne urzędy i stowarzyszenia, wreszcie 5) ogłoszenia, należałoby znaleźć najskuteczniejszą formę zwalczania swoistych wykroczeń językowych każdego z tych działów z osobna. Wielce skuteczne mogłyby być osobiste oddziaływanie na wpływowe jednostki, oraz wciągnięcie do współpracy nauczycielstwa. Wreszcie każdy prenumerator dziennika, jako stały odbiorca tego „towaru“, ma prawo domagać się bezpośrednio od redakcji podnoszenia jego jakości przynajmniej pod względem formy. Wygłosił się również pomysł wydawania zeszytami wykazu najpospolitszych błędów językowych, spotykanych w dziennikach, w rodzaju wydanych już przez T-wo spisów błędnych zwrotów języka, używanego w biurach i urzędach. Pomysł ten spotkał się z żywym uznaniem Zarządu, co pozwala nam oczekiwać jego wykonania w niedalekim czasie.

A walkę z lekceważeniem języka prowadzić należy na szerokim froncie, bo istotnie „jest bardzo źle“.

Dobrą wróżbą dla pracy T-wa K. P. i K. J. wydaje się to, że jego posiedzenia odbywają się w siedzibie dawnego T-wa Przyjaciół Nauk. Wszakże bodźcem do założenia tego wiekopomnych zasług towarzystwa była właśnie konieczność czuwania nad czystością języka. Praca w tym kierunku dała wówczas świetne wyniki. Gorąco pragniemy, aby dążąca do tego samego celu praca dzisiejszego T-wa Krzew. Popr. i Kult. Jęz. uwieńczyła się również powodzeniem.

„KULTURA POLSKA I OBCA“

Pod powyższym tytułem Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie uruchomiło dobrze przemyślaną i wartościową bibliotekę, zapoznającą czytelnika en masse z najważniejszymi zagadnieniami kultury w dawnej Polsce oraz ze związkami łączącymi nas z Zachodem. Biblioteka wychodzi oddzielnymi tomikami: są to opracowania poszczególnych zagadnień czy epok, wypisy do przedstawionych dziejów z odpowiednim aparatem krytycznym oraz atlasy i zbiory ilustracji z objaśnieniami. Tematy dobrane zostały umiejętnie bądź to na podstawie ogólnych zainteresowań dzisiejszych czytelników (głównie szkoły i szerszej inteligencji), bądź to z punktu widzenia współczesnych potrzeb. Dotychczas wyszły: Kobieta w dawnej Polsce — L. Charewiczowej, Opiekunowie kultury w Polsce — St. Lempickiego. Stosunki kulturalne Polski z Zachodem w XV w. — J. Skoczka, Kierunki rozwojowe dziejopisarstwa staropolskiego — B. Nadolskiego, Dzieje szkolnictwa wojskowego w Polsce — A. Knota.

Ostatnio zaś ukazała się broszurka Bronisława Nadolskiego p. t. „Rozkwit literatury narodowej w XVI wieku na tle życia umysłowego w Polsce“. W klarownej, syntetycznej formie informuje autor o przenikaniu humanizmu do Polski, o roli, jaką tu odegrały akademie zagraniczne i spozierające na modę dwory, o wpływie reformacji na umysłowość i literaturę polską — oraz o budzeniu się w obliczu nowych zjawisk troski o narodową literaturę polską.

Pełniejsze vade mecum po bogatym obszarze kultury polskiej i związkach z Zachodem stanowi praca redaktora omówionej biblioteki, prof. Kazimierza Hartleba, p. t. „Kultura polska od zarania dziejów po dni ostatnie“. Powtórne wydanie świadczy o ciągłej użyteczności dzieła. „Kultura Polska“ zawiera wypisy ze starych źródeł polskich i kronik, relacji nuncjuszów, posłów zagranicznych i podróżników oraz z pamiętników owoczesnych. Cała ta różnostronna, ciekawie dobrana suma głosów ludzi, co kiedyś żyli i działali, daje szeroki i barwny obraz życia i kultury polskiej w rozmaitych epokach. Część I p. t. „Kraj i ludzie“ informuje o obszarze i geografii Polski, przynosi charakterystykę wszystkich stanów społeczeństwa polskiego i narodów mieszkających w granicach Rzeczypospolitej. Dalej „Kultura materialna“ podaje opisy dworu królewskiego, pałaców magnaterii i dworów szlacheckich, domostw mieszczańskich i zagrody wiejskiej. Rozdział trzeci „Zwyczaje i obyczaje“ wprowadza w staropolski tryb życia, zaznajamia z uroczystościami elekcyj, obrzędami różnych warstw, przyjętymi przez możnowładców zabawami i t. p. Wreszcie „Kultura umysłowa“ dokonywuje syntetyzującej oceny charakteru i życia polskiego w najwartościowszych przejawach — Dzieło ma bogatą szatę ilustracyjną uplastyczniającą doskonale czasy traktowane, oraz wyczerpujące informacje i skorowidze

PRZED OKNEM KSIĘGARNI

Tadeusz Kudliński Uroki. Książnica Atlas 1938. Tom I str. 320 i tom II-gi str. 331

Podobnie jak poprzednia powieść „Rumieńce wolności“ obecny temat został zakrojony na szeroką miarę. Epopeja napoleońska, tętniąca od krańca do krańca Europy „Bóg wojny“ wyzwala uciemiężonych, rozkuwa z żelastwa przesądów i niewoli ludy, zdobywa, uwodzi. Stąd też i tytuł powieści — „Uroki“. Zwłaszcza zrozumiały dla Polaków, którzy z potęgą i obietnicami Napoleona związali się szczerze, całym uczuciem, już nie tylko ulegając jego wielkości, ale wprost urokowi jego sławy. Ostatecznie, bywa się pod hipnozą i mniejszej legendy.

W ten sposób wraz z wymienioną już powieścią, przedstawiającą epokę kościuszkowską ujął Kudliński w ramy beletrystyki rozległy obszar życia narodowego. Zaludnił go tłumem ludzi drobnych, szarych — wielolicym bohaterem tamtych orężnych czasów. Jak na taśmie filmowej mienią się ludzie i zdarzenia. Mimo to całość nie rozpryskuje się we fragmentach, jednoczy je głęboki nurt historyczny.

Tu tkwi istota wiążąca treść: wypadki historyczne, dzieje in statu nascendi. Ta strona tematu została przez Kudlińskiego przepracowana na tyle, że bohaterowie nie zapadają w podstępne lochy niekompetencji. Szkoda tylko, że autor nie pokusił się o jakieś inne rozsądzenie stosunku Napoleona do Polaków: poszedł torem tradycjonalistycznym. A przecież rzecz ta dojrzała całkowicie do rewizjonizmu, może nawet patosu oskarżenia.

Głównym bohaterem, stąpającym orężną stopą po gorących epizodach napoleońskich czasów, jest ten sam Jakub Kierzkowski. Postać przeciętna, ale jak i w „Rumieńcach wolności“ załamują się na niej zdarzenia. Poszczególne sceny i obrazki następują po sobie w zręcznej kolejności i motywacji. Wyrastając tak na szarego bohatera tamtych czasów, Kierzkowski nieźle spaja obserwacje w całość, stanowi udany motyw kompozycyjny.

Należy podkreślić z dużym uznaniem ambicje autora i wytrwałość jego w przeorywaniu odległej epoki. W „Urokach“ znajdujemy potwierdzenie uprzednio stawianych horoskopów pod adresem Kudlińskiego — talent szerszej skali.

Ewa Szelburg Zarembina. Legendy Warszawy Gebethner i Wolff. 1938. Str. 70.

Ostatnimi czasy ukazało się dość wiele publikacyj, które w różnoraki sposób usiłują zakląć piękno Warszawy. Legenda miasta o pięknej i bogatej przeszłości stanowiła w tych próbach magnes, pociągający pisarzy. W porównaniu bowiem z Krakowem jest bardziej świeża i nie wykorzystana. Wiele by można z tego pola skarbów wyorać.

Obecnie autorka „Wędrówek Joanny“ wzięła na swój warsztat wątki legendarne stolicy. Wybór ten nie dziwi: wszakże Szelburg Zarembina, jak słusznie zauważył K. Czachowski, posiada szczególny dar uniezwyklania rzeczywistości, dodajmy jeszcze, że cechują ją skłonność do baśniowości i malowania wizyj. Tedy „Legendy Warszawy“ oscylują w kręgu najgłębszych czarowań pisarki, wyzwalają w sposób naturalny nałóg fantastyki, są właściwą domeną dla typu wyobraźni pisarskiej.

Dziesięć opowiadań, pięknie zilustrowanych drzeworytami S. Mrożewskiego, snuje baśń od czasów pogańskich do epoki stanisławowskiej. Kamienie te same — tylko oszlifowanie inne. Znane naogół tematy ubiera Szelburg Zarembina w przepych barw, blask malowniczych obrazów, wskrzesających prastare dzieje. Fantastycznie rośnie na nich Warszawa: jak na złotych drożdżach.

Pozycję tę da się jedynie zestawić z „Gawędami o Warszawie“ Fr. Galińskiego. Ustępuje napewno Galińskiemu w obfitości wiedzy, ale przewyższa siłą talentu i świeżością uczucia.

J. A. Hobart. Rzeka przeznaczenia. Książnica Atlas 1938. Str. 347. — Kurban Said. Ali i Nino. Powsz. sp. wyd. „Płomień“. 1938. Str. 287.

Obie powieści da się omówić pod wspólnym znakiem którym jest egzotyzm, odurzający czytelnika czarem odmienności życia.

Powieść J. Hobart wiedzie nas do Chin, nad brzegi jednej z najwspanialszych rzek świata — tajemniczego, czczonego przez Chińczyków Jang-cy-Kiangu. Poznajemy szybko głównego bohatera: okazuje się nim nieustraszony pionier amerykański, który postawił sobie za cel ujarzmienie groźnej rzeki, wprowadzenie żeglugi parowej w jej górnej części i zdobycie jej w ten sposób dla handlu światowego. Cel nie osiąga się łatwo; bohater nasz walczy z nieopanowaną potęgą przyrody i wrogim wobec cudzoziemców nastawieniem zacofanych mas chińskich. Jak widzimy, temat nieco filmowy. Portret bohatera (koniecznie pionier! koniecznie krzewiciel cywilizacji europejskiej!) zdradza pędzel typowo amerykański. Ale ten szablon równoważy i okupuje całkowicie tło powieści, roztoczone jakoby barwna a tajemnicza panorama. Chiny z ich wiekową kulturą

i klątwą głodu, moru i wojny — stanowią główny przedmiot zainteresowania w książce J. Hobart. Sensacja stara jak smok chiński, ale jak ten smok właśnie — pociągająca.

Druga powieść ma walnik dość rzadki: koloryt kaukazki Kurban Said (pisarz chyba azerbejdżański) opowiada stylem pamiętnikarskim o egzotycznym życiu w Baku i na pobliskim brzegu Morza Kaspijskiego. Tu dzieje się historia głębokiej i czystej miłości między mahometaninem a chrześcijanką, której to historii jak wszędzie towarzyszy walka dwu kultur. Czytelnik śledzi wszystkie perypetie z zaciekawieniem; poznaje przedwojenne Baku z jego meczetami, starymi murami i pałacami, z jego wiezami wiertniczymi, bogactwem i padołem nędzy. Ale krwawy czas nie pozwala zdrzemnąć się we wschodniej sielance. Wojna, budzenie się narodowego ruchu azerbejdżańskiego, proklamującego nad brzegiem Morza Kaspijskiego niezależną republikę, walka z bolszewikami i ostateczna klęska — przenoszą nas w sam wir namiętnych wschodnich spraw i trzymają w ciągłym napięciu. — I rzadka egzotyka i ta właśnie wartka fabuła są głównymi walorami książki.

André Maurois. Człowiek, który ważył duszę Książnica — Atlas. 1938. Str. 112.

Tytuł przypomina filmy sensacyjne, których wiele oglądamy w ostatnich czasach. Śmiałe hipotezy naukowe, zaczerpnięte z literatury, i banalne fabuły miłosne wedle dzisiejszego gustu — zwijane we wstęgę. Naprawdę jednak to zapożycza się kino. W końcu ubiegłego stulecia a i potem jeszcze dominował w literaturze szlachetny gatunek utopii naukowej, który pozostawał w związku z rozmachem i optymistyczną tendencją ówczesnej cywilizacji, zdobywającej świat w siedmiomilowych butach nauki i techniki. O czym nie roili wtedy Flammarion, J. Verne, Stevenson a później Wells! Wiele z tego pozostało tylko marzeniem, wiele jednak uległo zdystansowaniu w powojennych zdobyczach.

Wszakże w tej literaturze musi tkwić zapładniający potencjał fantastyki. Widzimy po rezultatach tematycznych kina. A i w tym jeszcze nawrocie, którego chociażby omawiana książka Maurois jest przykładem. Człowiek, który ważył duszę... Młodemu lekarzowi angielskiemu udaje się wpaść na ślad substancji, stanowiącej istotę życia. Nie powiodło się jednak doprowadzić do końca odkrycia, otwierającego przed ludzkością oszałamiające możliwości. Doświadczenia, które dają coraz bardziej zastanawiające rezultaty, zostają przerwane skutkiem splotu fatalnych okoliczności i zagadka „fluidu witalnego" pozostaje nierozwiązana.

Tok tego „naukowego" opowiadania snuje się niczem na ekranie. Z tą chyba różnicą, że zawsze ze smakiem. Ogólnie: gatunek twórczości stosowany, lecz spełniający pożyteczną rolę zaspakajania głodu sensacji u czytelnika.

H. G. Carlisle. Krzyk matki. Powsz. sp. wyd. „Płomień". 1938. Str. 270. — Tejże autorki. Małżeństwa Niny. Powsz. sp. wyd. „Płomień". 1938. Str. 288.

Carlisle wyspecjalizowała się w obserwacji kobiecego środowiska; portrety kobiet, kobieca walka z życiem, w którym ciężkie warunki materialne i niedobrany mężczyzna stanowią główną zaporę, oto najważniejsze wątki tematyczne tej autorki. Ciepły ton autentyzmu, niepodrobione wzruszenie, a widać, że i przetrawienie jeżeli nie przeżycie stanów spisywanych — sprawiają, że Carlisle czyta się z pewnym przejęciem.

Pierwszą powieścią, która zawędrowała na nasz rynek wydawniczy, jest „Krzyk matki". Rzec by można, gdyby nie skromność środków: saga pospolitego losu. W prostych słowach opowiada kobieta z ludu dzieje swego życia od czasów narzeczeństwa. Widzimy, jak te nieskomplikowane dnie i noce rosną wiecznym zmartwieniem, wypełniają się ciągłym zabiegiem o sprawy powszednie, o siebie, o męża, o dzieci. Jednostajny tok zdarzeń przerywa śmierć męża; w ślad następuje inna największa dla serca matczynego tragedia: syn staje się mordercą. Przeżycia w związku z tym matki stanowią ostateczny dramatyczny wygłos książki.

Druga powieść Carlisle „Małżeństwa Niny" wprowadza nas w zupełnie odmienne środowisko, przedstawiając dzieje kobiety, która potrafiła sobie życie ułożyć. Nina stanowi taki właśnie typ: od najwcześniejszej młodości jest samodzielna, pracuje, boryka się z losem, szuka wśród burz i ciężkich przeżyć osobistego szczęścia. Znajduje je wreszcie przy boku niezbyt może efektownego bohatera, ale dobrego i kochającego — i w formacie niezbyt może wielkim, ale do niej dopasowanym. Ileż jest dzisiaj takich Nin, skromnych urzędniczek, ekspedientek itp. szukających wśród przeciwności życia odrobiny szczęścia! Rzec by można: w tym fragmencie, jaki ukazuje omawiana książka, przebija znamię całości. **G. T.**

IDEE I SZTUKI TEATRALNE

Z inicjatywy Związku Artystów Scen Polskich a pod redakcją Tymona Terleckiego i przy współpracy Juliana Krzyżanowskiego, Mieczysława Rulikowskiego oraz Leona Schillera, wchodzących w skład komitetu redakcyjnego, Państwowe Wydawnictwo Książek Szkolnych we Lwowie przystąpiło do wydawania serii podręczników teatrologicznych p. n. „Wiedza o teatrze". Ukazał się właśnie tom II-gi wspomnianej edycji, zawierający studium pióra Wiktora Brumera p. t. „Meiningeńczycy". W rzeczowej formie informuje autor o dziejach i założeniach ideologicznych znanej trupy niemieckiej z drugiej połowy ub. stulecia, której działalność była wysoko ceniona w ówczesnej Europie i zaważyła korzystnie na rozwoju nowoczesnego teatru. Postulatami Meiningeńczyków były: prawda przeżycia aktorskiego, zgranie całego zespołu, realizm wystawienia, właściwe traktowanie tekstu. Jeżeli chodzi o wpływ Meiningeńczyków na teatr polski, to był on znaczny. „Silnie zaważyli oni — pisze Brumer — na działalności Tadeusza Pawlikowskiego". Zgrany zespół, reżyseria mas, wielka dbałość o stronę malarską, realizm, posunięty często do naturalizmu — oto cechy reżyserii Pawlikowskiego, wykształcone na przesłankach Meiningenowskich. To samo dotyczy pośrednio — poprzez Stanisławskiego — Reduty. „Realizm ich przedstawień — zauważa Brumer — pogardzanie wirtuozostwem, nieuznawanie podziału na role wielkie, czy małe, ba, nawet te studia topograficzne w związku z przedstawieniem „Wesela" — wszystko to miało swe źródło w działalności Meiningeńczyków". Treść wywodów Brumera uzupełniają szkice i rysunki do sztuk, wystawianych przez teatr z Meiningen, oraz — rzecz ciekawa — posse partout Wład. Bogusławskiego, świadczące o bywaniu „ojca sceny polskiej" na warszawskich występach omawianego zespołu.

Szeroka demokratyzacja oświaty, wciąganie w orbitę zainteresowań artystycznych coraz liczniejszych mas stwarza potrzebę odrębnego repertuaru, w miarę popularnego, lecz oczywiście na dobrym poziomie. Powie ktoś: czemuż by nie sięgnąć do skarbnicy wielkiej literatury narodowej? Sądzimy, że repertuar, o jaki chodzi, musi być aktualny, musi w formie sztuki stosowanej zahaczać o współczesne problemy i niepokoje. Jednocześnie trzeba się odrazu zastrzec: nie mogą to być rzeczy importowane. Popularny teatr Polski żywej musi dać sztukę bliską polskiemu sercu, nawiązującą do naszych tradycji i dążeń. W związku z tym warto zwrócić uwagę na zapoczątkowane przez Książnicę Atlas wydawnictwo seryjne p. n. „Teatr Polski żywej", w którym ukazały się dotąd „Gałązka rozmarynu" Z. Nowakowskiego, „Betlejem polskie" L. Rydla, „Jako Jędruś wójtem ostał..." F. Bursy i „Legenda o karczmarzu Centoryi" M. Mikuty. Są to sztuki o potrzebnym właśnie charakterze, spośród których „Gałązka rozmarynu" sięgnęła miejscami wyżyn prawdziwego artyzmu i zdobyła zasłużoną popularność. **G. T.**

NADESŁANE

Zeszyt poezji francuskiej. Tłumacze: Zbigniew Bieńkowski i Julian Rogoziński. Nakł. miesięcznika „Orka".

Miscellanea slawistyczne. Kraków 1937 (Prace polsk. towarzystwa dla badań Europy Wschodn. i bliskiego Wschodu, nr X)

Światopełk Karpiński. Poemat o Warszawie. Wyd. J. Mortkowicza. 1938.

Jalu Kurek. Myślom ciasno. Kraków 1938.

Julian Przyboś. Równanie serca. F. Hoesick. Warszawa 1938.

Fola Gojawiczyńska. Słupy ogniste. T. II. Wyd. J. Mortkowicza. 1938.

M. Fricińska. 20 lat w Paranie. Inst. Wyd. „Biblioteka Polska". Warszawa 1938.

Maria Wielopolska. Obyczaje towarzyskie. Państw. Wyd. Książek Szkolnych we Lwowie. 1938.

Rafał Len. Ludzie na schodach. Wyd. M. Fruchtmana. 1938.

V. Lednicki. Quelques aspects du nationalisme et du christianisme chez Tolstoi. Cracovie 1935

L. Sejfulina. W cieniu minaretów. Warsz. wydawnictwo współcz. 1938.

H. Batowski. Państwa bałkańskie 1800–1923. Kraków 1938. (Prace polskiego towarzystwa dla badań Europy Wschodniej i bliskiego Wschodu, nr. XV)

Władysław Milczarek. Liryzm Wołynia. Równe 1938.

Tadeusz Sławiński. Zagadnienia gospodarcze Polski współczesnej. Inst. Wyd. „Bibl. Polska". 1938.

M. Łuczyńska. Fałszywe kamienie. Warsz. wydawnictwo współcz. 1938.

N. J. Służewski. Orka o świcie. Pow. sp. wyd. „Płomień". 1938.

Mieczysław Lisiewicz. Trop nad jeziorem. Kraków. Księgarnia Powszechna

NA MARGINESIE NIEZWYKŁYCH SZTUK TEATRALNYCH

Na sztuce Rostanda „Cyrano de Bergerac" doznałem oszołomienia.

Jak objawienie witałem na scenie postać głównego bohatera, jego walka z kołtuńskim otoczeniem rozprowadzała po widowni optymizm. Oczywiście ten optymizm nie był potrzebny wszystkim widzom. Nawet nie wiem, czy się bawili tym samym, co ja, ale przypuszczam, że tak, bo bardzo żywo i inteligentnie reagowali na akcję dramatu. Co więc było najbardziej pasjonujące w tej sztuce, nazwanej w tytule niezwykłą? Oto Cyrano ma wrogów ze wszystkich stron i to nie tylko wrogów od szpady, ale poetów, krytyków, intelektualistów. Zbyt bystry i dowcipny, zbyt mądry i niezależny, nie może Cyrano liczyć na miłość swego otoczenia. Kochają go tylko nieliczni i wypróbowani przyjaciele. Społeczeństwo zaś ówczesne, w którym żył i obracał się Cyrano, nienawidziło go z całej siły. Nienawidziło go za to, że nie był głupcem i nieponiem, że śmiało nosił głowę do góry i wypowiadał swe myśli jak człowiek nieustraszony. Wszystka małość i pyszałkowata głupota bez organizowania się w związki wspólnie i konsekwentnie tropiła znienawidzonego człowieka, choć bano się go panicznie z powodu ostrej i szybkiej szpady. Pojedynek rozegrany szczęśliwie przez Cyrana na scenie pobudził do smutnych refleksji i wzbudził żal za tymi czasami, kiedy nieponia doraźnie można było ukarać za jego podłość i wyzywającą postawę. Dobro, mając ze sobą dzielność i zręczność, uczyło na każdym kroku szacunku do swej świętości. Dzisiaj bezkarnie właściwie wylewa się na człowieka pomyje, bo cóż można ostatecznie uczynić, aby dotkliwiej nauczyć prawdy tego, który jej nie chce uznać; albo można wygrać w sądzie jeden złoty tytułem strat moralnych, albo dać w ucho (można też i w twarz), aby mając za sobą słuszność wyższego rzędu przegrać ten jeden złoty za poskromienie bydlaka. Dzieje Cyrana przez swój bohaterski wyraz mają ogromne znaczenie nawet dla aktualnych zdarzeń. Bohater Rostanda nie unikał oczywiście walki i stawał do niej chętnie wierny prawdziwej etyce i prawdziwej szlachetności, nikt jednak nie mógł mu sprostać ani w pojedynku na słowa, ani w pojedynku na szpady. Zorganizowane więc zaplute karły uplanowały pokonać go podstępem. Zwalono mu na głowę przy realizacji tego planu belkę z wysokości pierwszego piętra i już było po bohaterze, ale nie po bohaterstwie. Przejmujące chwile zgonu Cyrana podsuwały nowe myśli i skojarzenia. Wtedy też zrozumiałem, jak powstaje donkiszoteria. Oto ludek ciekawy i dość sprawiedliwy patrzy na walkę człowieka, jak na widowisko. Owszem ocenia ją sprawiedliwie, wie, że Cyrano ma rację, cieszy się, że pokonał przeciwników, ale — w dalszym ciągu pozostaje na stanowisku widza. Słuszne i potrzebne walki przez obojętność społeczeństwa stają się donkiszoterią. I nie może być inaczej, skoro człowiek walki musi być w naszych warunkach samotny.

Mówi się po prostu w ten sposób: trzeba przeczekać, zobaczymy co będzie dalej, na razie, rozumie pan, ze względu na swe stanowisko muszę stać daleko. Ten rzekomy objektywizm obraca się na korzyść hołoty, która zdepcze później Cyrana bezwzględnie i bez żalu. Lepiej jednak umrzeć tak, jak on, aby na scenie powtarzać przed widzami dzieje swego żywota, niż zapaskudzić duszę kompromisem z podstępem, zdradą, obmową i brudem.

Fascynującego bohatera Rostanda grał z wielkim przejęciem Krasnowiecki. Cały zresztą zespół dostroił się do tych wymagań, jakie stawia sztuka. Dzięki temu mogli widzowie przeżyć w sobie dzieje indywidualnego bohaterstwa.

Druga sztuka, błyskotliwa komedia Shawa (Major Barbara), nie interesowała mnie wcale kompromitowaniem angielskiej „Armii Zbawienia". Oczywiście było to bardzo interesujące, jak autor z pasją i bez ogródek tępił fałsz i obłudę, ta jego postawa miała właśnie pewien aspekt ogólniejszego znaczenia, który uderzył mnie szczególnie silnie swą jak na nasze stosunki niezwykłością. Za tę niezwykłość uważam wolność słowa, prawdziwą, nieskrępowaną wolność. Pozwala ona wyśmiać się autorowi z różnych fałszywych i śmiesznych bab, których załganie było istotnie arcyzabawne, ale nadto pozwalała wypowiedzieć kilka bardzo mocnych słów krytyki pod adresem samej Anglii i Anglików. Nie jest to do pomyślenia w warunkach polskich, a szczególnie łódzkich. Za podobną krytykę przywar narodowych miał by autor polski na pewno proces o obrazę narodu polskiego, kampanię w prasie i obojętność niedawnych przyjaciół. Nie chodzi mi o to, aby istotnie literatura polska zajmowała się krytyką narodu, ale wyrażam przekonanie, że było by to z różnych względów niemożliwe. Z tego powodu nabrałem przekonania do Anglików. Rozumieją się na rzeczy i mają poczucie humoru. Tego poczucia nie mają jednak łodzianie, jeśli patrzą na zbytki lub na walkę własnych współobywateli. Inaczej przedstawia się sprawa ze sztuką obcą. Shaw serdecznie ich bawił, nie mogłem więc wyjść ze zdumienia widząc jak czci godni ludzie i koryfeusze słowa znani ze swego purytanizmu zaśmiewają się z przewrotności zacnego staruszka. Pełni zadowolenia i radosnego uśmiechu oklaskiwali akcenty antyreligijne i światoburcze, ze spokojem wysłuchiwali tego, co mogło by uchodzić za gwałt na polskim sumieniu i za gwałt na praworządności. Postawiłem więc sobie alternatywę taką — albo jestem anormalny, albo coś u innych ludzi nie jest w porządku. Tylko co — sumienie, czy rozum?

T. S.

Z ŻYCIA ŁODZI

ODCZYT GEN. THOMMÉE

Dnia 10 XI 38 r. w sali Towarzystwa Kredytowego gen. bryg. Wiktor Thommée wygłosił odczyt o udziale „dzieci Łodzi" w walkach z bolszewikami. Prelegent, posługując się stylem jędrnym, a jasno oddającym myśl, nakreślił imponujący obraz heroizmu polskiego żołnierza. Łódź szczególnie może być dumna: na wojnę z najazdem bolszewickim poszli chłopcy z przedmieść robotniczych, Bałut, Widzewa i Chojen, którzy zahartowali się w zmaganiach, dojrzali w tym niejako, wyrośli na gorących patriotów i w konsekwencji zdali dobrze swój egzamin żołnierski i narodowy. Słusznie więc „dzieciom Łodzi" należy się pochlebna ocena.

Ale, oczywiście, wielką satysfakcją było usłyszeć ją z ust tak świetnego żołnierza, jak gen. Thommée. Przed zasłuchaną salą stanął nie książkowy prelegent, ale dowódca zahartowany w bojach, który dzieje opowiadane dogłębnie przeżył. Dowódca sił zbrojnych i serc owych „dzieci Łodzi"... To się odczuwało w każdym słowie, ścisłym i jędrnym, rzucanym jak rozkaz w czasie walk, a zarazem pełnym ludzkiego wzruszenia, porywającym i sugestywnym. Generał, opowiadając, raz jeszcze przeżywał etapy niezłomnego marszu po piaskach i moczarach, częstokroć boso, z karabinami na zwykłych sznurach — i sugestia ta udzielała się audytorium. Mówca przystawał niekiedy i malował tragiczne epizody, jak walkę na bagnety, śmierć bohaterską takich oficerów, jak ś. p. Pączkowskiego i ś. p. Pogonowskiego lub wspominał różne drobne szczegóły, niepozorne na pierwszy rzut oka, lecz wymownie świadczące o dobrym duchu, jaki panował wśród „dzieci Łodzi". Było też widać, że generał ma wiele zrozumienia dla swoich towarzyszy broni, że odczuwa duszę prostych żołnierzy — i dlatego obok rzeczy wielkich zapamiętał to wszystko, co składa się na codzienne ludzkie oblicze żołnierza.

Myśl swoje zakończył mówca doskonałym porównaniem. Wskazując na pomnik pod Verdun, znaczący miejsce, do którego dotarli Niemcy, p. generał stwierdził, że miejsca pod Warszawą, skąd zostali odparci bolszewicy, nie zdobi żaden monument. Jest tam tylko kurhan porośnięty trawą i jakiś stary wiejski krzyż. To dziś, a jutro czas zrówna to miejsce z ziemią. Ale pamięć o tych, którzy tutaj powstrzymali bolszewików, m. in. o „dzieciach Łodzi" — trwać będzie po wszystkie czasy w sercach polskich i wyrówna po stokroć wartość pomnika z granitu i marmuru.

Odczyt gen. Thommée wywarł na słuchaczach silne wrażenie, pogłębiając jeszcze bardziej uczucia miłości i czci, jakimi Łódź armię polską otacza.

Red.

TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK W ŁODZI

Dn. 6. 12. 38 r. odbyło się pierwsze walne zgromadzenie Towarzystwa przyjaciół nauk w Łodzi. W posiedzeniu uczestniczyli oprócz grona członków także liczni goście, reprezentujący elitę umysłową Łodzi.

Przemówienie wstępne wypowiedział prezes towarzystwa prof. dr. Vieweger. Sekretarz generalny p. Zygmunt Lorentz przedstawił sprawozdanie z wstępnego okresu działania towarzystwa oraz zarys programu prac naukowych i organizacyjnych na najbliższe dwa lata.

Do nowego zarządu weszli ponownie pp. prof. Vieweger, Zygmunt Lorentz, Ignacy Boliński, Antoni Remiszewski. Zarząd będzie uzupełniony przez delegatów sekcji naukowych towarzystwa.

Do komisji rewizyjnej powołano na członków pp. Mieczysława Hertza, Franciszka Michejdę i inż. Bronisława Michaelisa a na zastępców pp. Juliusza Jurczyńskiego i płk. dr. Jana Żurkowskiego.

A. K.

RUCH MUZYCZNY

Często się słyszy, że miasto nasze to teren mało podatny dla krzewienia kultury muzycznej. Uważam jednak, że Łódź staje się powoli ośrodkiem kulturalnym, a w parze z kulturą materialną podąża coraz szybszym krokiem i kultura duchowa.

Oczywiście, że jeśli idzie o muzykę, widzi się pewne niedociągnięcia, bo nie można porównać Łodzi do Warszawy, ale w miarę możności czyni się na tym polu wiele. Trzeba jeszcze wziąć pod uwagę, że miasto robotnicze nie posiada odpowiednich warunków, któreby sprzyjały rozwojowi kultury muzycznej.

Mimo wszystko osiąga się znaczne rezultaty. W listopadzie odbył się cały szereg imprez muzycznych. Dnia 13. XI. b. r. urządzono w sali Ymca poranek symfoniczny w wykonaniu Orkiestry Związku Muzyków Chrześcijan. Solista koncertu, prof. Paweł Lewiecki, wykonał z towarzyszeniem orkiestry koncert fortepianowy Lu-

domira Różyckiego. Poza tym orkiestra odegrała szereg innych utworów, jak uwerturę „Rosamunda" Schuberta, oraz fragmenty symfonii Feliksa Dobrzyńskiego. Profesor Lewiecki jest bezwątpienia doskonałym pianistą o wytwornej powierzchowności, panuje nad instrumentem, a walory jego gry są widoczne w traktowaniu każdej frazy muzycznej. Nad program artysta zagrał utwory Chopina z właściwym wdziękiem i subtelnością. Co zaś dotyczy orkiestry, to wywiązała się ona ze swej roli zupełnie dobrze, dając poważne rezultaty pracy. Należałoby jedynie zwrócić uwagę na instrumenty drewniane, które pozostawiają wiele do życzenia pod względem intonacyjnym. Orkiestrą dyrygował Tomasz Kiesewetter, młody i dobry kapelmistrz, prelekcję treściwą wygłosił Roman Iżykowski.

Drugi poranek symfoniczny odbył się dnia 20. XI. w sali Filharmonii pod dyrekcją Waleriana Berdiajewa. Na program złożyły się utwory Czajkowskiego, VI symfonia — patetyczna i uwertura „rok 1812 oraz „III pieśń" o wszechbycie Karłowicza. Berdiajew, znany Łodzi z wielu występów, dyryguje po mistrzowsku i ma, jak się to mówi językiem muzycznym, partyturę w głowie, a nie głowę w partyturze. Wydobywa z orkiestry efekty dźwiękowe i pełnię brzmienia. Orkiestra filharmoniczna posiada dobrą obsadę smyczkową, natomiast instrumenty drewniane i blaszane nie są na poziomie, zwłaszcza flety i kornety, które jak gdyby były tym razem zupełnie „niedysponowane".

Z pośród ważniejszych imprez muzycznych należy wymienić jeszcze występy łódzkich orkiestr w radio, jak orkiestry salonowej i smyczkowej pod dyrekcją Kiesewettera, kwintetu salonowego pod dyr. Ciesiołkiewicza i kapeli ludowej pod dyr. Makowskiego. Niedawno założona orkiestra robotnicza Związku Muz Chrześcijan pomyślnie się rozwija i wystąpi po raz pierwszy przed mikrofonem dnia 11 XII. b. r. w ramach audycji robotniczej. Na uwagę zasługują również występy chórów robotniczych, transmitowane ze świetlic i ośrodków życia kulturalnego robotników, oraz cykl pogadanek o muzyce i muzykach, prowadzony przez Romana Iżykowskiego. Pogadanki te przynoszą nie tylko fachowe wiadomości muzyczne, lecz również rozpatrują zagadnienie wspólnych cech między poszczególnymi działami sztuki. Audycje te są ilustrowane muzyką fortepianową i z płyt.

Do innych wydarzeń muzycznych należy zaliczyć doroczne święto patronki muzyki św. Cecylii, połączone z produkcjami muzyczno-wokalnymi, a zorganizowane przez Związek Polskich Stowarzyszeń Śpiew. i Muz. woj. łódz. W dniu 17. XI. b. r. wygłosił w sali gimnazjum Zgromadzenia Kupców Henri Marchaud odczyt w języku francuskim p. t. „Bizet i jego twórczość", ilustrowany muzyką z płyt.

W sali Filharmonii odbył się w listopadzie koncert Imre Ungara, ociemniałego pianisty, laureata konkursu im. Chopina. Artysta ten znany z wielu występów w Łodzi, wykonał utwory Bacha, Mozarta, Beethovena, Chopina i innych. W końcu miesiąca odbył się w lokalu Konserwatorium wieczorek muzyczny uczniowski. Udział w nim wzięły klasy fortepianowe, skrzypiec, instrumentów dętych i klasa kameralna. Program tego rodzaju wieczorków jest zawsze starannie opracowany i daje niezbite dowody, że placówka ta kształci całe zastępy ludzi i przyczynia się do podniesienia kultury muzycznej Łodzi.

Prócz wymienionych imprez, odbyło się wiele jeszcze innych, których jednak z powodu braku miejsca nie omawiam.

Zygmunt Sobolewski

DWIE AKADEMIE ROBOTNICZE

Pięknym zakończeniem obchodu dwudziestolecia odzyskania niepodległości wśród sfer robotniczych była m. in. akademia urządzona dn. 20 listopada b. r. staraniem Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego w teatrze przy ul. Śródmiejskiej.

Ze smakiem udekorowano salę, widownię i scenę, wg. wskazówek W a c ł a w a Z a t k i e g o. Program stał na wysokości zadania. Bardzo wielu uczestników uroczystości przybyło udekorowanych odznaczeniami za udział w walce o niepodległość Polski.

Przemówienia treści historycznej wygłosili: dr. Adam Próchnik oraz znany działacz niepodległościowy i społeczny Antoni Purtal. W części artystycznej wystąpiła orkiestra robotnicza dzielnicy „Bałuty" oraz scena robotnicza T. U. R., która odtworzyła dzieje walk o niepodległość Polski, uwiecznione w poezji i pieśni robotniczej. Ciekawa ta inscenizacja opracowana została przez Eugeniusza Ajnenkiela i zasługuje na specjalne podkreślenie, mieściła bowiem w sobie cały szereg pieśni i poezji pisanych przez robotników, a zapomnianych już lub mniej znanych szerszemu ogółowi. Całość przepracowana starannie pod reżyserią Zygmunta Salskiego, wypadła dobrze. Pieśni śpiewał chór robotniczy T. U. R.

●

Pracownicze Towarzystwo Oświatowo-Kulturalne im. St. Żeromskiego w celu uczczenia 13-ej rocznicy śmierci swego patrona urządziło dnia 27 listopada r. b. w Teatrze Polskim uroczystą akademię, którą zaszczycili swą obecnością przedstawiciele władz państwowych, wojskowych i samorządowych.

Akademię zagaił prezes Towarzystwa, inż. St. Waligórski, zaznaczając, że Żeromski całe życie troszczył się o podniesienie kultury robotnika i chłopa polskiego, dlatego Towarzystwo obrało sobie za patrona tego właśnie wielkiego społecznika.

Prelekcję okolicznościową na temat „Twórczość Żeromskiego" wygłosił wiceprez. A. Pączek, który w treściwym przemówieniu zobrazował również życie wielkiego pisarza i społecznika, kładąc specjalny nacisk na wartość jego myśli dla świata pracy.

W dalszej części miał miejsce program wokalno-muzyczny. Fragmenty z „Róży" oraz „Popiołów" wykonali artyści Teatrów Miejskich. Produkcje śpiewne, na skrzypce i orkiestrowe wykonały chór K. P. „Zjednoczone", E. Szwertner i orkiestra Zjedn. Zakł. Włók. K. Scheiblera i L. Grohmana.

Ogółem bogaty program akademii, jak również powaga przeżywanej chwili, uczyniły silne wrażenie na zebranej w ilości 1200 osób publiczności, dając tym dowód, że świat pracy Żeromskiego czci i rozumie.

L. W.

KARTKI Z KALENDARZA

20 października r. b. Klub Literacki Polskiej YMCA zorganizował wieczór ku czci Asnyka, na którego program złożyły się prelekcja, recytacje wybranych wierszy oraz pieśni do słów poety. Należy podkreślić, że impreza ta była jedynym uczczeniem rocznicy Asnyka na terenie Łodzi.

29 października r. b. odbyło się w Teatrze Popularnym jubileuszowe przedstawienie z racji 15-lecia tej pożytecznej sceny. Dano komediooperę J. N. Kamińskiego „Skalmierzanki" w reżyserii Br. Dąbrowskiego i z dekoracjami K. Mackiewicza. Na wstępie przemówienie wygłosił dyr. Józef Wołczyński, twórca i opiekun Teatru Popularnego, wprowadzając słuchaczów w piętnastoletnie dzieje ważnej placówki kulturalnej na robotniczym przedmieściu Łodzi.

Dn. 10 listopada b. r. w sali Filharmonii odbyła się akademia międzyszkolna z okazji 20-lecia odzyskania niepodległości. Na program prócz części literackiej złożyły się produkcje połączonych chórów i orkiestr czterech gimnazjów państwowych pod dyrekcją naucz. państw. gimn. im. Stef. Żeromskiego, Zygmunta Sobolewskiego.

Dn. 11 listopada b. r. odbyło się w ramach obchodu Święta Niepodległości uroczyste otwarcie muzeum pamiątek po Marszałku Józefie Piłsudskim. Została przywrócona do dawnego wyglądu drukarnia, w której Piłsudski wydawał nielegalnego „Robotnika" — i oddana społeczeństwu łódzkiemu jako historyczne sanktuarium Łodzi. Muzeum otrzymało nazwę: Zrekonstruowany Warsztat Pracy Konspiracyjnej Józefa Piłsudskiego w Łodzi. Główne zasługi przy urządzeniu muzeum położyli A. Pączek i E. Ajnenkiel.

SKRZYNKA DO LISTÓW

W SPRAWIE VIII MIĘDZ. KONGR. HISTORYKÓW

Ponieważ do interesującego sprawozdania p. Tadeusza Landeckiego z VIII Międzynarodowego Kongresu Historyków w Zurichu, pomieszczonego w 6-tym, listopadowym numerze „Wymiarów", wkradło się kilka nieścisłości — przeto pozwalam sobie prosić Sz. Redakcję o pomieszczenie niniejszego sprostowania i uzupełnienia.

1. Prof. Heinlein, „wyróżniany" przez p. Landeckiego, referatu swego na Kongresie nie wygłosił, tym samym więc referat ten nie mógł dać „asumptu do ożywionej dyskusji".

2. Prof. Łukinich wygłosił swój referat nie na Międzynarodowym Kongresie Historyków, lecz na konferencji historyków Europy Wschodniej, która miała miejsce także w Zurichu, lecz przed omawianym Kongresem.

3. Autor referatu o polityce Bismarcka nazywa się Hallgarten, a nie Hollgarten.

4. W formie zaś uzupełnienia pragnął bym wskazać, że p. Landecki, ze zrozumiałym zainteresowaniem akcentujący wystąpienia delegacji polskiej na Kongresie — opuścił jednak pozycje całkiem w dorobku tej delegacji pierwszorzędne. Nie dowiaduje się więc czytelnik z artykułu p. Landeckiego, że prof. Kutrzeba wystąpił z syntetycznym referatem o ewolucji państwa w Europie Zachodniej i Wschodniej, że prof. Konopczyński wygłosił ciekawy referat o konfederacjach, ich organizacji i działaniu w dziejach narodów nowożytnych, że prof. Gąsiorowska przedstawiła bardzo interesujący referat o nauczaniu historii w szkole zawodowej, że prof. Zmigryder-Konopka wzbudził żywe zainteresowanie aktualnym referatem o polityce Oktawiana Augusta, a generał Kukiel — referatem o taktyce armii epoki napoleońskiej, że dr. Widerszal wystąpił z referatem z dziedziny dotąd przez polskich historyków nieuprawianej, mianowicie z historii Bułgarii — i. t. d. i t. d.

Pozycje wymienione niemało przyczyniły się do słusznie przez p. Landeckiego podkreślanej doskonałej opinii członków Kongresu o udziale w nim delegacji polskiej i dlatego zasługują na przypomnienie ich na tym miejscu. Zaznaczyć tu należy, że referaty p. prof. Gąsiorowskiej i p. prof. Zmigrydera-Konopki, jako profesorów Wolnej Wszechnicy Polskiej w Łodzi, tym większe muszą wzbudzić zainteresowanie u historyków łódzkich.

Witold Kula (Warszawa)

CO DAJE „POMOC ZIMOWA"?

Głosy wybitnych przedstawicieli społeczeństwa łódzkiego

Zbliża się zima: czas głodu i mrozu dla współbraci, dotkniętych klęską braku pracy. Nie dajmy im zginąć. Pomoc Zimowa to zbiorowy obowiązek, podejmowany w myśl etyki chrześcijańskiej i w trosce o dobro Państwa. Najpiękniej i najgłębiej myśl tę wyraził Prymas ks. kardynał A. Hlond, mówiąc: „Katolicyzm jest z natury swej religią społeczną". Toteż i przy przeprowadzaniu akcji pomocy zimowej nie braknie ani Kościoła, ani katolickiego kapłana. Nie pozwolimy na to, by w Polsce ktoś głodował. Nie dopuszczajmy do tego, by w Polsce ktoś zimą marzł, a przede wszystkim nie obarczajmy się odpowiedzialnością za to, że w swobodnej ojczyźnie — polskie dziecko żyje wśród nas w nędzy i w nieszczęściu. Pomoc Zimowa woła dla nich o ludzkie warunki bytu, woła o chleb i mleko, o ciepłą izbę, o chwilę szczęścia przed żłobkiem Zbawiciela".

W Łodzi los bezrobotnego jest ciężki. Wielkie skupienie fabryk wywołuje trudne warunki bytu. Lecz „miasto pracy" nie zostawi swych braci bezrobotnych bez ratunku. Wołają o to głosy wybitnych przedstawicieli społeczeństwa łódzkiego, woła miłość bliźniego, troska i rozum państwowy.

Chcąc możliwie szeroko spopularyzować ten nakaz, **Redakcja „Wymiarów" zwróciła się do reprezentantów świata łódzkiego, wchodzących w skład wydziału wykonawczego Wojewódzkiego Obywatelskiego Komitetu Pomocy Zimowej Bezrobotnym w Łodzi, prosząc o skreślenie paru słów na temat znaczenia idei pomocy zimowej.** Podajemy najpierw głos przewodniczącego, prez. Gustawa Geyera, dalej otrzymane odpowiedzi — w porządku alfabetycznym.

Prezes G. Geyer
Przewodniczący wydz. wyk. W. O. komitetu Pomocy Zimowej

Pomoc udzielana bezrobotnym nie jest jałmużną: stanowi pożyczkę, zaciągniętą w potrzebie u społeczeństwa. Ten może pożyczać, kto ma dobrą wolę spłaty długu. Podobnie: ten może pomoc otrzymać, kto mimo rozpaczliwego poszukiwania pracy nie znajduje a ratunek społeczny przyjmuje nie jako ofiarę, lecz jako dług zaciągnięty, który musi być zwrócony.

Chodzi mi o stronę moralną danej akcji: jałmużna demoralizuje, pomoc racjonalna — wspiera.

Prezes E. Bablacki
W.-przewodniczący sekcji zbiórki pieniężnej

Składając ofiary na Pomoc Zimową, powinniśmy pamiętać, że spłacamy tylko nasz dług wobec bezrobotnych, którzy z powodu nieuniknionej konstelacji wytrąceni zostali poza nawias produkcji i tworzą armię rezerwową przemysłu. Ofiarność winna płynąć szerokim korytem i ogarnąć wszystkie warstwy społeczne, rozdawnictwo zaś winno być tak zorganizowane, aby potrzebujący tej pomocy nie odczuwał jej jako upokarzającą go jałmużnę, lecz jako pomoc, która mu się od społeczeństwa należy.

Można być przekonanym, że Łódź, miasto pracy, będzie umiała należycie ocenić społeczne znaczenie Pomocy Zimowej i że każdy Obywatel naszego miasta spełni swój obowiązek.

Dyr. Z. Chudzyński
Skarbnik wydz. wyk. W. O. K. Pomocy Zimowej

Istotę świadczeń na Pomoc Zimową nie może stanowić wykonanie powszechnego przymusu, nakazanego przez władze, ale głębokie przeświadczenie o dobrze spełnionym obowiązku obywatelskim.

W.-dyr. J. Dobrowolski
Sekretarz wydz. wyk. W. O. K. Pomocy Zimowej

Tegoroczna akcja da większe wyniki, o ile wszyscy ci, którzy nie wywiązali się z obowiązku społecznego w roku ub., pospieszą z uregulowaniem swoich świadczeń. W pierwszym rzędzie do tych ludzi trzeba dotrzeć. Bo oni jak i wszyscy muszą poczuwać się do moralności i odpowiedzialności — Akcja Pomocy Zimowej jest aktem moralnym całego pracującego społeczeństwa.

Prezes Z. Fiedler
Przewodniczący sekcji organiz.-propagandowej

Zawód musi iść w parze z moralnością. Sfery gospodarcze popierają akcję Pomocy Zimowej, głosząc, że obowiązkiem sytego jest myśleć o głodnych. Od świadczeń nikt się nie powinien uchylać. — Przemysł i handel w Łodzi składają na rzecz Pomocy Zimowej największe sumy, a firmy, które się z tym ociągają, są mocno potępiane. Pomoc Zimowa — to wielka rzecz społeczna, w której uczestniczyć powinni wszyscy.

Dyr. mgr. K. Jagiełło
W.-przewodniczący wydz. wyk. W. O. K. Pomocy Zimowej

Niechaj nikt nie narzeka, że ciężko mu składać ofiary na rzecz współbraci, dotkniętych klęską braku pracy. Żyjemy w znanej wszystkim rzeczywistości gospodarczej, społecznej i politycznej. Na nasze pokolenie spadły niesłychanie duże ciężary, ale i zaszczytne obowiązki — musimy wytężyć wszystkie siły, abyśmy mogli następnym generacjom przekazać Polskę potężną.

Nacz. K. Janiszewski
Delegat p. wojewody do wydz. wyk. W. O. K. P. Z.

Akcja Pomocy Zimowej bezrobotnym i ich dzieciom to walka z żywiołem, którego pośrednie rujnujące działanie łatwo obrócić się może przeciwko najbardziej ufnym w materialne zabezpieczenie swej sytuacji — u człowieka doprowadzonego do rozpaczy, zawiść i żądza zniszczenia często poprzedzają nawet odruchy instynktu samozachowawczego i górują nad nim.

Dyr. inż. J. Kawczak
W.-przewodniczący sekcji zbiórki płodów rolnych

Pomoc Zimowa dla bezrobotnych ma swoje nie tylko charytatywne, ale i ekonomiczne oblicze — żyjemy bowiem pod znakiem nadmiaru produktów rolnych.

Umożliwienie spożycia ich przy pomocy akcji Pomocy Zimowej zdejmuje z rynku nadwyżki, a przez to samo działalność ta jest czynnikiem wpływającym na korzystniejsze dla rolnictwa kształtowanie się cen produktów rolniczych.

Dlatego rolnicy akcję Pomocy Zimowej — niezależnie od momentów uczuciowych — winni poprzeć w całej rozciągłości.

Sędzia H. Konarzewski
Przewodniczący sekcji rozdzielczej

Najważniejszym bodaj obowiązkiem obywatela w chwili obecnej jest pamięć o licznej rzeszy tych współobywateli jego, którzy bez własnej winy i woli pozbawieni pracy i zarobku głodują i ziębną.

Pomyślmy więc o nich! Śpieszmy im z pomocą! Groszem ofiarnym przyczyńmy się do solidarnej akcji całego Społeczeństwa i Rządu w ratowaniu tych najnieszczęśliwszych.

Wszyscy na Pomoc Zimową!

Niech nikogo z nas nie zabraknie!

Dyr. B. Reicher
Przewodniczący sekcji zbiórki pieniężnej

Wobec niedostatecznego stanu zatrudnienia przyjście z pomocą bezrobotnym w czasie ciężkiego okresu zimowego jest w naszych warunkach rzeczą bezwzględnie konieczną. Zwracamy przy tym specjalną uwagę na sprawę dzieci, rozumiejąc, bardzo dobrze, że dzieci młodsze lub starsze to przyszłość Państwa, i że tylko pokolenie zdrowe fizycznie będzie miało odpowiednie zdrowie moralne.

Dyr. dr. M. Rzadkiewicz
W.-przewodniczący wydz. wyk. W. O. K. P. Z.

Gdy kończą się roboty publiczne, gdy zamykają się pełne stodoły i spichrze, a pola pustoszeją po żniwach, społeczeństwo spieszy z pomocą tym wszystkim, którzy żniw nie mieli i pracy nie mają. Niosąc zasiłki pieniężne, dary w odzieży, żywności i opale, dajemy wyraz gorącej potrzebie serc naszych, ale jednocześnie i przede wszystkim zdajemy wielki egzamin dojrzałości społecznej i zdolności do samodzielnego i niezależnego bytowania we własnym państwie. Dajemy wyraz niekłamanej wiary w Polskę Mocarstwową, w której każdy obywatel, jeśli jeszcze nie dziś, to w najbliższym jutrze znajdzie odpowiednie warunki dla zapewnienia dostatniego bytu sobie i swoim najbliższym. Dlatego kto w Polskę wierzy, ten spieszy z pomocą zimową.

Dyr. A. Trypka
Delegat do wydz. wyk. W. O. K. Pomocy dzieciom i młodzieży

Wielkie to zadanie otoczyć dzieci w wieku szkolnym troskliwą opieką, dożywić je i odziać; nie mniej jednak ważnym być powinno zajęcie stanowiska wychowawczego wobec tej młodzieży, która z braku warunków do szkół uczęszczać nie mogła i która nie miała nawet możności stanąć przy określonym warsztacie pracy, celem przygotowania się do życia samodzielnego. Ta młodzież również potrzebuje pomocy i już nie tylko w sensie nakarmienia, ale przede wszystkim nadania jej witalnych sił celowego kierunku, by o własnej mocy mogła dawać sobie radę, by dzięki naszej opiece zdobyła pewność siebie i wiarę w dobrą przyszłość.

Dyr. J. Wołczyński
W.-przewodniczący sekcji rozdzielczej

Pomoc Zimowa — to egzamin obowiązkowości społecznej obywateli. Należyte zrozumienie jej przez całe społeczeństwo przyczynia się do łagodzenia antagonizmów stanowo-klasowych, pogłębiając jednocześnie ideę solidaryzmu społecznego. Podchodząc z tym przeświadczeniem do spełnienia swego obowiązku, dźwigamy najwłaściwiej Polskę wzwyż.

Nacz. dr. St. Wrona
W.-przewodniczący wydz. wyk. W. O. K. P. Z.

Pomoc Zimowa? Dla mnie jest to nie tylko zagadnienie serca, ale problem dobrze ujętego obowiązku obywatelskiego. We współczesnej Polsce nie powinno być w żadnym wypadku głodnych i nie odzianych. Honor i duma każdego obywatela wymaga, aby stać na czołowych pozycjach walki o to, by nie było głodnych, by nie było zziębniętych, by nie było sarkań i narzekań, by niedostatek nie cisnął pokrzywdzonym i przez los upośledzonym przekleństwa na usta i złej myśli do mózgu.

Pomoc Zimowa jest pierwszą formą dobrze pojętej samopomocy i winna grupować wokół siebie wszystkich Polaków dobrej woli.

TREŚĆ SIÓDMEGO NUMERU „WYMIARÓW"

●

„Wymiary" ukazują się co miesiąc, prócz lipca i sierpnia.

Prenumerata roczna (10 numerów) zł 9.—; półroczna (5 numerów) zł 5.—

Cena numeru pojedyńczego zł 1.—

Należność za prenumeratę wpłacić należy załączonym przekazem rozrachunkowym.

●

PRZEGLĄD PRASY

W ubiegłym miesiącu ukazał się pierwszy numer wileńskiego miesięcznika „Comoedia". Wydaje go komitet redakcyjny w następującym składzie: Leopold Pobóg-Kielanowski, Józef Maśliński, Stanisław Turski. Treścią pierwszego numeru są rozważania związane z kulturą i teatrem, a szczególnie z postacią Wyspiańskiego. Charakterystyczne jest „słowo od dyrekcji teatru", które przed artykułem umieściło cytację z „Wyzwolenia": „Przychodzę by walić młotem". Nastawienie do rzeczywistości jest twórcze i dlatego zdanie Wyspiańskiego jest w pewnym sensie dewizą.

W „słowie od redakcji" czytamy poza tym: „Potrzeba stworzenia pisma bliskiego naszej umysłowości i sprawom naszego regionu zbiegła się z intencją teatru wileńskiego, który pragnie — jak to jest dziś ogólnie przyjęte — szukać i na tej drodze kontaktu z publicznością. „Comoedia" nie chce bynajmniej stać się pismem dla szczupłej garstki specjalistów. Uwzględniając obszernie sprawy sztuki teatralnej i literatury nie zamierza na nich poprzestać. Przystępne omówienia zdobyczy nauki nowoczesnej, plastyka, zwłaszcza stosowana w życiu codziennym (urbanistyka, estetyka wnętrza i t. p.), fotografika, film, turystyka — oto sprawy, której nie omnie dziś żaden człowiek kulturalny. Ambicją redakcji będzie służyć w tych wszystkich dziedzinach czytelnikowi — nie nudząc go jednocześnie. Będziemy starali się rozwinąć nasze pismo pod każdym względem, tak od strony szaty zewnętrznej, jak i doboru treści, którą chcemy naprawdę przystosować do potrzeb czytelnika". Te zamierzenia redakcji zostały już częściowo zrealizowane. W numerze znajdujemy dobry wiersz Zagórskiego p. t.: „Daniel", oryginalność jego polega na tym, że czuć w nim Wyspiańskiego, ale jest jednak utworem odrębnym i nowym; dalej interesujące artykuły: Władysława Zawistowskiego — „Stanisław Wyspiański, poeta naszego pokolenia" (przedruk z roku 1932), Leopoldu Pobóg-Kielanowskiego — „Walczę z legendą tradycji" i inne.

Prace regionalne oprócz informacyjnych mało są zrozumiałe, widocznie posmak ich aktualności lokalnej jest zbyt nieznany, aby można było zrozumieć to, co jest między wierszami.

P. S. Już po napisaniu tej recenzji ukazał się 2 numer „Comoedii", równie ciekawy.

●

Marchołt zamieniono z kwartalnika na dwumiesięcznik, z tego powodu redaktor umieścił „Poufną rozmowę z czytelnikami". Nie da się pominąć milczeniem ogromnej aktualności tej wypowiedzi. Wyraźnie bowiem mówi, — że redakcja nie wyrzeknie się rozważań, bo ich w Polsce za mało. — Zresztą niech „Marchołt" mówi sam za siebie.

„Postać Marchołta ucieleśnia wszystkie dążenia dzisiejsze i tęsknoty: Chłop-król i człowiek trawiony żądzą świętości. Tęga osobowość — rwąca się przez sieci obłudy i czczej formalistyki ku działaniu w szerokim widnokręgu. Ma w sobie nieustępliwość i trzeźwość, co na wskroś przenika królującą sofistykę. Jego wizerunek uprzytamnia zwrot ku niektórym wartościom średniowiecza, wyobraża związek z ziemią i przemawia humorem, płynącym z goryczy ale i wiary. ...Krakania więc z lewicy czy prawicy, listy z pretensjami i zgorszenie nie czyniły na nas wrażenia: właśnie należały do programu... humoru. Histerii politycznej będziemy iść na przekór! Brak zrozumienia, że raz te, raz inne wartości muszą wysuwać się na czoło w postaci zagadnień palących, łączy się z fetyszyzmem etykiet — choćby życie tym formułom całkiem inny sens nadało. Polityka demoralizuje: z taktyki w końcu robi cnotę, z przemilczeń prowadzi do zakłamań. A nie idealni ludzie, lecz tacy, jacy są: z partyjnymi nałogami w myśleniu, z klasowymi urazami muszą się uczyć razem pracować. Chcielibyśmy, aby wprzód nauczyli się wzajemnie znosić. Więc ryzykowaliśmy nie tylko własną opinię zuchwale czasem balansując, nie tuszując nieraz akcentów i zdań redakcji wręcz niemiłych — ryzykowaliśmy ukazać więcej — jasność linii. Ale to właśnie było humorem odwagi, wezwaniem do samodzielnego myślenia, choćby o nas miano źle myśleć. Wydało się to ludziom sprzeczne: bo strzelamy do kłamstwa — w pogoni mając liberalizm z grzeczności lub oportunizmu. Takie zarzuty witamy z humorem: dla nas wszystko to ta sama walka z zasklepieniem, z nierzetelnością. I nadal będziem bezwzględni i... ultrapobłażliwi. Tak też we wszystkim: surowość kryteriów nie wyłączy tolerancji dla pierwszych prób młodych współpracowników.

Marchołt nie strzeże swojej linii — i dlatego ma ją! Lecz jest i tragiczna wina: właśnie dlatego pismo nie stworzyło grupy. Marchołt jest dla sekciarzy za wolny, dla kompromisowców — brutalny. Sprzęgnięci wzajem czasem boczą się na siebie: „Skąd ten tułaj?!" Trudno — nie będzie już kapliczki. Wiadomo: cham-ci jest Marchołt, co wali z prosta, a nie żaden święty... Nie „pod wezwaniem" — jednak jest wezwanie. Bo nie ważne, kto wzywa, lecz kto powołany się czuje, kto widzi zadania. Jeśli niepodobny jest do nas a przyjdzie — tym lepiej: wskaże nowe sprawy. Nie wyrzekniemy się rozważań, bo ich w Polsce za mało, lecz chcemy bliżej być pytań konkretnych i ruszać się żwawiej, stąd nieco szybsze tempo, a mniejsze rozmiary pisma".

T. S.

„WYMIARY" REDAGUJĄ: *Tadeusz Sarnecki i Grzegorz Timofiejew*

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOW.: *Tadeusz Sarnecki*

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: *Łódź, Sienkiewicza 3/5 m. 12*
Tel. 158-08
Konto w K.K.O. m. Łodzi Nr 609

DYŻURY REDAKCJI i ADMINISTRACJI:
we wtorki każdego tygodnia od godziny 19 do 21

Odbito w „Drukarni Polskiej" L. Mazurkiewicza i S-ki, Sp. z ogr. odp. w Łodzi, Kilińskiego 95, tel. 214-64